



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jerozolima, 33 r. n.e.

Abigail cichutko wycofała się z miejsca, gdzie odbywała się uroczystość i pokuśtykała w stronę cienia. Bolała noga doskwierała jej coraz bardziej, więc usiadła na kamiennej ławce pod zewnętrzną ścianą okalającą podwórze. Wokół niej odgłosy bawiących się gości weselnych zlewały się w jeden szum. Jeszcze nigdy nie była świadkiem tak radosnego świętowania. Czuła, jakby napięcie, niepokój i niepewność ostatnich tygodni zupełnie odeszły. Ci ludzie cieszyli się nie tylko z powodu ślubu Albana i Lei. Był jeszcze jeden, dużo ważniejszy powód niż radosne przymierze tych dwojga nowych wyznawców Drogi.

Wszyscy radowali się prawdą, w którą już wcześniej wierzyli, lecz która teraz została potwierdzona. Ich Przywódca, Rabbi Jezus, naprawdę powstał z martwych i byli na to naoczni świadkowie.

Abigail obserwowała, jak dwunastoletni Jakub tańczy wśród innych weselników z niemal histerycznym zapalem i żarliwością.

Wciąż było to dla niej niepojęte, że jej brat żyje, że jest cały i zdrowy. Miała wrażenie, jakby od zamordowania jej rodziny upłynęła wieczność. Tak długo czuła się samotna i zagubiona. I oto, nie dalej jak kilka godzin temu, zauważyła go tańczącego po drugiej stronie podwórza. Dla niej on również jakby zmartwychwstał – ten cud wydawał się jak sen. Na samą myśl o tym, do jej oczu znów napłynęły łzy.

Jakub musiał poczuć jej wzrok na sobie, bo odwrócił się, jakby jej szukał. Gdy ich spojrzenia się spotkały, podbiegł z troską na twarzy.

– Abigail, czemu nie tańczysz? Żle się czujesz?

– Czuję się świetnie, Jakubie.

I tak było. Chora noga dość mocno ją bolała, lecz w tej chwili mogła czuć jedynie radość w sercu. Lea, jej ukochana przyjaciółka, tańczyła w kręgu wierzących ze świeżo poślubionym mężem, Albanem, a jej brat stał tuż przed nią. Jej *brat*.

– Jestem tylko trochę zmęczona – zapewniła go.

– Przyniesić ci coś? – zerknął na stół weselny udekorowany kwiatami i gałązkami, gotowy na mającą się niedługo rozpocząć ucztę.

Nagle odczuła potrzebę dotknięcia go, upewnienia się, że Jakub nie jest jakąś zjawą, przywidzeniem. Sięgnęła jego ramienia z drżącym uśmiechem.

– Może trochę wody. Dziękuję.

Gdy Jakub podbiegł do stołu, spojrzała znów na radosny tłum wypełniający małe podwórze. *Czy to możliwe, że minęło zaledwie sześć tygodni odkąd nasz Pan umarł?* Grupa Jego wyznawców, będąca już pod obserwacją jako podejrzana, pozamykała się po domach, szepcząc jeden do drugiego podniosłe, a zarazem pełne strachu słowa, rozglądając się nerwowo za każdym razem, gdy ktoś spośród nich musiał wyjść na ulicę.

Wtedy Jezus się im objawił, po czym wstąpił do nieba, by wysłać do nich Ducha Bożego, który zstąpił w jakże zdumiewający sposób – pod postacią wiatru i ognia.

A teraz bawili się z rumieńcami na twarzach i wesołością w oczach, a ich głosy zlewały się w tekst pieśni. Znowu zabrzmiała muzyka tamburynów i fletów, porywając stopy do tańca. Tak, słyhać było bez wątpienia, że jest to zabawa weselna, lecz było to także świętowanie zmartwychwstania ich Pana i otrzymania pożegnalnego daru Jego niewidzialnej, lecz niewątpiwej obecności.

I powrót Jakuba – wyszeptła do siebie Abigail z nikłym uśmiechem, wachlując twarz liściem palmowym. Jak to dobrze mieć tyle powodów do świętowania! *Gdyby tylko moja noga tak nie bolała...* Dyskretnie sięgnęła pod szatę, by rozmasować bolące miejsce. Jakże by chciała być teraz pośród tańczących! Bez końca wirowałyby po podwórzu...

– Proszę, siostrzyczko!

Abigail mimowolnie wstrząsnęła dreszcz radości na dźwięk znajomego zwrotu z ust chłopaka, o którym myślała, że nigdy więcej go nie ujrzy. Uśmiechnęła się w podzięcie i wzięła z jego ręki gliniany kubek, ale nie mogła się napić, gdyż gardło miała ściśnięte ze wzruszenia.

Jakub odwrócił się, by popatrzeć na klaszczący i śpiewający tłum. Kiwnęła głową wskazując mu, by dołączył do reszty. Widziała, że jest rozdarty, więc dotknęła lekko jego ramienia i popchnęła go.

– Idź, Jakubie. Zatańcz za nas oboje – tyle tylko zdołała wypowiedzieć przez łzy radości.

I już go nie było. Patrzyła, jak bierze kogoś za ręce i wiruje pośród przyjaciół. Była wśród nich jej droga przyjaciółka Hanna z białymi kwiatami wplecionymi we włosy. Lea i jej oblubieniec wymknęli się już do swej komnaty weselnej.

Abigail wstała. Powinna pomóc Marcie i Marii, które właśnie wносиły tace z pieczoną jagnięciną, by umieścić je na poustawianych wzdłuż ściany stołach. Jej uwagę przykuł śmiech przebijający się przez ogólną wrzawę. Pewnie jeden z galilejskich rybaków opowiadał jakąś zabawną historię. Choć nie słyszała słów, uśmiechnęła się, gdy jeden z mężczyzn poklepał swego towarzysza po plecach i obaj znów gruchnęli śmiechem.

Westchnęła i spróbowała wstać, zobaczywszy kobiety niosące gliniane misy z czerwonymi winogronami i dojrzałymi oliwkami. Wcześniej pomagała przygotować do nich sos z suszonej ciecierzycy oraz tacę ze świeżą dymką, kolendrą i miętą.

– Abigail! – zawołała ją Marta. – Chodź i zajmij miejsce przy stole.

Chociaż jej ton był bezpośredni i szorstki, Abigail знаła jej serce. Przez Martę przemawiała miłość.

– Powinam pomagać...

– Jest znacznie więcej rąk do roboty. Widziałam wcześniej, jak utykasz. Siadaj i jedz.

Gdy Piotr wstał, by pobłogosławić jedzenie, Abigail niechętnie podeszła, by zająć miejsce przy stole dla kobiet. Uwielbiała słuchać, jak Piotr głośno się modli. Jego słowa były skierowane do Boga Jahwe, lecz przynosiły słuchającym pocieszenie i zrozumienie Bożych prawd.

Ledwie zajęła miejsce, gdy ktoś pociągnął ją za rękaw. Przykucnęła przy niej Nedra, służąca z pałacu Heroda. Było to zadziwiające, gdyż mimo usilnych próśb Lei, przełożony Nedry, Enos, odmówił jej pozwolenia na uczestnictwo w dzisiejszej uroczystości.

– Och, Nedro, Lea będzie taka szczęśliwa, kiedy się dowie, że Enos dał się ubłagać...

Ale Nedra od razu potrząsnęła głową. Dyszała tak ciężko, że Abigail czuła jej oddech na swojej twarzy. Dziewczyna pochyliła się bliżej i wysapała:

– Enos nie wie, że tu jestem. Muszą uciekać. Natychmiast!
Jej słowa nie od razu dotarły do świadomości Abigail.

– Ale jak to?

– Lea, Alban. Muszą uciekać. *Teraz!*

Oczy Nedry były szeroko otwarte ze strachu.

Z drugiego końca stołu dobiegła do ich uszu salwa gromkiego śmiechu. Niepokój Nedry nie pasował do tego zgromadzenia.

– Ale Alban i Lea są...

– Teraz! Musisz mnie posłuchać – palce Nedry szarpały szatę Abigail. – *Nie ma czasu.*

– Nie rozumiesz, Nedro. Oni poszli do komnaty weselnej...

– Herod już wysłał strażę – w oczach Nedry krył się lęk graniczący z szaleństwem.

Z drugiej strony Abigail odezwał się głos:

– Czy coś się stało?

Abigail z ulgą spostrzegła, że obok jej ławki stoi Marta.

– Nedra mówi, że jest jakieś niebezpieczeństwo. Próbowałam jej wyjaśnić, że...

– A ja ci mówię, że muszą uciekać – Nedra zerwała się z miejsca, machając gwałtownie rękami.

Nagle stanął przy nich młodzieniec imieniem Szczepan. Przy stojne rysy jego ciemnej twarzy wyrażały zatroskanie, lecz mimo wyraźnego przerażenia Nedry, młody człowiek zachowywał niebywały spokój.

– Proszę... Nedro – tak masz na imię? Powiedz nam, proszę...

– Jeśli Enos zauważy, że mnie nie ma, każe mnie zabić – Nedra wytarła czoło trzęsącą się dłonią.

– Nie możemy więc na to pozwolić. Skoro biegłaś tu całą drogę, musisz być spragniona. Marto, proszę, przynieś jej coś do picia. A teraz mów, co się stało.

Abigail widziała, jak Nedra się trzęsie.

– Herod wysłał strażę – powtórzyła ochryplym głosem.

– Żeby pojmać Leę?

– I Albana. Herod nadal chce się zemścić na nich obojgu. Mają być do niego przyprowadzeni, a proces ma się odbyć szybko. A potem... potem zabije oboje.

– Jesteś pewna?

– Podśledzałam, co planuje.

– Czy nie można się do kogoś odwołać?

Marta przysłała z kubkiem wody, ale Nedra tylko trzymała go w dłoniach.

– Nie. Piłat wyjechał do Cezarei. I właśnie dlatego Herod podjął działanie teraz – oddech Nedry znów stał się nerwowy i urywany. – Muszę wracać. Z każdą chwilą, gdy tu jestem, rośnie niebezpieczeństwo...

– Oczywiście – Szczepan podniósł wzrok rozglądając się po podwórzu. – Jakubie! – zawołał. – Potrzebujemy twojej pomocy. Odprowadzisz tę panią szybko i bezpiecznie do pałacu?

Chłopiec może i był młody, ale odpowiedział od razu. Musiał wyczuć niebezpieczeństwo.

– Znam tajemne przejścia. Chodźmy! – machnął ręką kierując się w stronę bramy.

– Dobry chłopak – pochwalił go Szczepan, po czym kiwnął i uśmiechnął się do Nedry. – Dobrze zrobiłaś, że przysłałaś.

– Powiedz im, że mi przykro. Ale muszą się pospieszyć – Nedra pozwoliła, by Jakub wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Ostatnie słowa rzuciła przez ramię, już w biegu: – Powiedz, żeby się spieszyli! Przekaż ode mnie pozdrowienia. Będę się za was modlić.

– A my za ciebie. Biegnijcie bezpiecznie!

Szczepan odwrócił się do Marty.

– Musimy im powiedzieć.

Abigail zorientowała się, że muzyka ucichła i wszyscy patrzą w ich kierunku.

– Nie moglibyśmy ich ukryć? – zapytała zdławionym głosem.

Marta szybko jej odpowiedziała:

– Nedra nie panikuje bez powodu. Ryzykowała życie, by ocalić przyjaciół.

– Skoro Herod już wysłał strażę, musimy się pospieszyć – dodał Szczepan. Nawet nagłe niebezpieczeństwo nie zmało jego wrodzonego spokoju. – Alban i Lea są w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tutaj nie mają gdzie się ukryć – nie przed gniewem Heroda, nie w tym mieście. Nedra ma rację. Muszą uciekać.

Abigail znalazła w sobie siłę, z której nie zdawała sobie wcześniej sprawy. Zwróciła się do Marty:

– Ja pójdę ich ostrzec. Spakujesz im do torby trochę jedzenia?

Szczepan już ruszył z miejsca.

– Zobaczę, czy uda mi się załatwić konia.

Abigail wspięła się najszybciej jak mogła po drewnianych stopniach wiodących do pokoju, który dzieliła z Hanną, a który udekorowały i użyczyły młodej parze. Usłyszała delikatny śmiech kobiety. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby Lea się śmiała. *A teraz chwile radości muszą się zakończyć tak szybko.* Oczy wypełniły jej się łzami, gdy stanęła pod drzwiami pokoju.

Już miała ich zawołać, gdy drzwi się otworzyły. Stał w nich Alban obejmujący Leę w talii.

– Co się stało, Abigail? Usłyszałem, jak ktoś biegnie...

– Herod... – smak tego słowa w jej ustach był ohydny. – Idą po was jego oddziały. Teraz. Nie ma czasu...

Urwała, bo Alban właśnie chwycił ją za ramię.

– Spokojnie. Powiedz jeszcze raz.

– Herod wysłał po was strażę. Nedra wymknęła się z pałacu, żeby nas ostrzec. On chce... – nie mogła dalej mówić.

– Co chcesz powiedzieć? – szepnęła Lea.

– Piłata nie ma w mieście – wyjaśnił Alban ponurym tonem.

– Herod wykorzystuje szansę, by się na mnie zemścić za to, że pokrzyżowałem mu plany.

Abigail zarzuciła ramiona na Leę, a łzy płynące z jej oczu zamieniły się w szloch, gdy tuliła przyjaciółkę. – Musicie uciekać. Oddziały...

Ciepłe dłonie Lei przytrzymały ramiona Abigail.

– Bierzcie rzeczy – ty i Jakub. Pospieszmy się.

– Straże nie będą szukać Abigail ani Jakuba – zdecydowanie w głosie Albana pomogło obu kobietom uspokoić się. – Towarzystwo nam byłoby zbyt niebezpieczne dla nich obojga. We dwoje będziemy się szybciej poruszać i mniej rzucać się w oczy.

– Ale...

– Leo, jeśli strażę już nasz szukają, musimy ruszać *teraz*. Jak już będziemy bezpieczni, pošlemy po nich.

– Jakub poszedł odprowadzić Nedrę do pałacu – Abigail wytarła twarz. – Alban ma rację. A z moją nogą...

Lea uścisnęła ją jeszcze mocniej.

Alban delikatnie odsunął żonę od przyjaciółki.

– Musimy iść.

– Damy znać jak tylko to będzie możliwe – powiedziała Lea przez ramię, spiesznie schodząc ze schodów. – Obiecuję.

Abigail osunęła się na stopień, ukryła twarz w dłoniach, a przez palce pociekły jej łzy.

– O, Boże, daj im szybkość i Twoją ochronę – tylko tyle była w stanie wypowiedzieć.

Jedynym zwierzęciem, które w tak krótkim czasie udało się znaleźć Szczepanowi, był osioł, wykorzystywany do zwożenia z doliny opałowego drewna. Z wyrazu twarzy Albana Abigail wyczytała, że miał nadzieję na coś lepszego. Strach przed pochwycciem przez Heroda był widoczny w głębi jego oczu. Na szczęście Lea była zbyt zajęta pożegnaniem z innymi kobietami, by to zauważyć. Zanim wspięła się na osiołka i spojrzała na ukochanego, twarz Albana wyrażała właściwą dla niego powagę i siłę.

– Musimy ruszać.

– Dokąd się udacie? – spytała Abigail.

– Lepiej będzie, jak nie będziesz wiedziała. Gdy nie wiesz, nie grozi ci niebezpieczeństwo.

Nawet spokojna zazwyczaj Marta była teraz pełna niepokoju.

– Na tym osiołku daleko nie zajedziecie.

Alban chwycił za lejce i zaczął iść.

– Nie mamy wyboru.

Gdy doszli do bramy podwórza, z wąskiej alejki dało się słyszeć zbliżający się tętent kopyt. Abigail stała wystarczająco blisko, by zauważyć, że Alban sięga do pasa, lecz jego ręka schwytała tylko powietrze. Odwrócił się do Lei i powiedział:

– Przygotuj się do biegu.

– Nie opuszczę cię *nigdy*!

Alban już chciał z nią dyskutować, gdy odwrócił się i spostrzegł jeźdźca galopującego w ich stronę.

– Linuks! – zawołał, gdy ten stanął przed nimi.

Twarz żołnierza była poważna.

– Ludzie Heroda depczą mi po piętach! – Linuks zsunął się z konia. – Weźcie mojego rumaka i pędźcie jak wiatr!

Mężczyźni uścisnęli się. Wahanie szybko zamieniło się w solidny uścisk żołnierzy, którzy służąc razem zostali przyjaciółmi. Następnie Alban wskoczył na grzbiet konia i wciągnął Leę. Szczepan i Marta wetknęli im sporządzone naprędce zapasy na podróż. Przez krótką chwilę Lea i Alban rozejrzeli się po zebranych. Była to cicha chwila, gdyż każdemu zabrakło słów. Wreszcie Alban obrócił konia i wbił pięty w jego boki.

Abigail odpięła róg szala i uniosła go, by wytrzeć spływające po policzkach łzy. Strach niemal zgniatał jej klatkę piersiową. Zastanawiała się, kiedy – *i czy w ogóle* – ich znowu zobaczy. Poczowała, że ktoś ją obserwuje i nagle zauważyła, że żołnierz, ten Linuks, wcale nie patrzył za swoim odjeżdżającym przyjacielem. Patrzył *na nią*.

Przeszedł ją dreszcz. Już wcześniej zauważyła tego przystojnego rzymskiego oficera; zwróciła też uwagę na jego śmiałość. Ciaśniej okryła twarz chustą, zakrywając ją całą poza oczami, po czym odwróciła się, by popatrzeć, jak szybko koni rumak niosący Albana i Leę znika za rogiem ulicy.

Gdy ucichł już dźwięk kopyt na brukowanej drodze, Abigail odwróciła się i ujrzała wspólnotę wierzących stojącą w ciszy. Już nie grała weselna muzyka. Nie było już śmiechu i wesołości, tańców i uctowania. Ich świat znów gwałtownie się zmienił i musieli sobie przypomnieć, kim są i *gdzie* się znajdują. Obcy we własnej ziemi. Judejczycy, a jednak postrzegani jako wrogowie zarówno przez własnych przywódców religijnych, jak i przez rzymskich najeźdźców.

Ciszę przerwał stanowczy głos. Choć tylko trochę głośniejszy od szeptu, odbił się echem na podwórzu. Była to modlitwa, płynąca prosto z serca i duszy byłego rybaka z Galilei.

– Jedźcie z Bogiem – powiedział Piotr.

– Jedźcie z Bogiem – powtórzyli wszyscy, jakby wzięli oddech świeżego powietrza. Tak. W końcu przecież Bóg był z tym dwoj-

giem, którzy teraz ratowali ucieczką swoje życie. Był również z tymi, którzy zostali, by spotkać się z prześladowcami.

Abigail jeszcze nie otrząsnęła się po tych dramatycznych wydarzeniach, gdy zdyszany Jakub pociągnął ją za szal.

– Ukryli się? – zapytał z trudem.

Abigail złapała go obiema dłońmi za ramiona.

– Czy Nedra...?

– Udało nam się – wysapał. – Nie sądzę, by Enos się zorientował, że w ogóle opuszczała pałac.

– Bogu dzięki – wyszeptała Abigail.

– Gdzie Alban?

– Wyjechali. Są...

– Jak to: wyjechali? Dokąd?

– Nie wiem. Możemy się tylko modlić, żeby im udało się uciec.

– Ale... ale jak on mógł pojechać beze mnie? Ja przecież miałem jechać z nim. Obiecał, że nigdy mnie nie zostawi!

Abigail zobaczyła malujące się na twarzy brata poczucie nieszczyścia i zrozumiała, co chciał powiedzieć.

– Nie mógł czekać, Jakubie. Alban i Lea byli w niebezpieczeństwie. Przecież wiesz.

Gdy to mówiła, usłyszeli tętent licznych końskich kopyt dudniących na brukowanej uliczce prowadzącej na podwórze. Przyjechali prześladowcy.

– Szybko! – Abigail popchnęła Jakuba. – Musimy się ukryć zanim tu wejdą. – Opierał się, więc popchnęła go przed sobą. – Biegiem!

Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

– Ale dokąd?

– Za balie. Wyjdziemy tylnym wyjściem. Tam jest ścieżka prowadząca do uliczek na tyłach placu.

Ledwo przebiegli przez podwórze, pojawiły się rumaki, stąpając ciężko i parskając. Abigail usłyszała srogie krzyki żołnierzy i brzęk stalowych ostrzy. Wcisnęła Jakuba do cienia za sobą, pełna obawy, czy jakiś ruch nie przyciągnie ich uwagi.

– Szukamy Albana. Gdzie on jest? – wykrzyknął gniewnie żołnierz, który najwyraźniej był dowódcą oddziału.

– Tu go nie ma – odpowiedział Piotr.

– Mamy informację, że przebywa w tym miejscu. Czy zaprzeczasz? – spytał szorstko.

– Nie zaprzeczam, że tu *był*. To dzień jego ślubu. Świętowaliśmy to, że odebrał swoją oblubienicę i...

– Nie obchodzi mnie wasze świętowanie. Dokąd pojechał?

– Tego nie powiedział.

Dowódca zaklął siarczyście.

– Zobaczmy, czy potraficie mówić prawdę. Żołnierze, z koni! Przeszukajcie każdy zakamarek tego parszywego miejsca od góry do dołu! Jeśli ten nieokrzesany człowiek kłamie, wkrótce zawisnie na krzyżu. Razem z resztą swoich stronników.

Abigail wciągnęła głęboko powietrze i mocniej przyłgnęła do Jakuba. Pośród hałasu i zamieszania panującego na podwórzu raczej nie powinni zostać zauważeni.

– Tędy – szepnęła przez ramię. Schyleni przemknęli w stronę tylnego wyjścia. *Boże, Ojczy, proszę Cię, pomóż nam... pomóż nam wszystkim* – modliła się Abigail – *Panie Jezu, prowadź nasze kroki. Duchu Święty, bądź z nami...*

Jakub, który znał labirynt ulic i uliczek Jerozolimy jak własną kieszeń, wkrótce objął rolę przewodnika w tej gwałtownej ucieczce.

Tego samego dnia wieczorem, na tyłach zabudowań, przy sklepie handlarza ryb, który był jednym z wierzących, Jakub znów zasypał Abigail pytaniami. Dokąd pojechali Alban i Lea? Jakie mieli plany? Kiedy po niego poślą?

I wciąż padała ta sama odpowiedź:

– Nie wiem.

Jego cierpliwość szybko się wyczerpała.

– No to co mamy robić?

– Czekać – odparła Abigail.

– Czekać! – Jakub próbował z niej zadrwić, ale był bliski płaczu. – Nie tak to miało być. Potrzebuję Albana teraz. Nawet nie zdążyłem się pożegnać. Nie dostałem od niego instrukcji, co mam dalej robić. Jak możesz mówić, że mamy czekać? Czekać na co? Na kogo? A co, jeśli im się nie uda? Skąd będziemy wiedzieli? – jednym tchem wyrzucał litanię swoich frustracji i gniewu.

– Jeśli im się nie uda, Herod będzie się tym chwalił stąd aż do Rzymu – powiedziała w końcu Abigail, próbując trzymać swą cierpliwość na wodzy. – A nawet jeśli im się uda, może kłamać w tej sprawie tylko po to, żeby zachować twarz. Nie możemy zrobić *nic* innego, jak tylko czekać, Jakubie. Dadzą nam znać, jak tylko będą mogli. Poślą po nas w odpowiednim czasie.

Lecz Jakuba wcale to nie przekonało. Abigail poczuła, jak odsuwa się od niej w ciemności nocy. Bardzo ją to zabolalo. Czy kilka godzin temu odnalazła Jakuba tylko po to, by go teraz stracić z powodu żalu i tęsknoty za Albanem? Modliła się, by tak się nie stało. Jednak w tej chwili w jej sercu był chłód – większy nawet od zimnych ramion nocy, które ich otaczały.



ROZDZIAŁ DRUGI

Cezarea, dwadzieścia pięć miesięcy później...

Gdy Linuks znów postawił stopę na judejskiej ziemi, powitał go widok bawiących się dzieci. Dwaj chłopcy ścigali się po kamiennym murze portu. Linuks od razu przypomniał sobie dom swojego brata. Dwie dziewczynki, które zostały w Umbrii, były blondynkami. Bawiący się opodal chłopcy mieli ciemne włosy, jednak i te i tamte dzieci łączył łobuzerski śmiech oraz umiejętność czerpania radości z pogoni za motylem lub psem w unoszącej się w świetle słonecznym kurzawie. Odkąd Linuks opuścił ojczystą Umbrię i wyjechał do Rzymu, a następnie do Judei, prawie każdej nocy śnił o swoich bratanicach–bliźniaczkach. Każdy inny zdeklarowany kawaler mógłby to uznać za nawracający koszmar, lecz po tym, co Linuks odkrył w Rzymie, czuł, że owe sny zawierają maleńki płomyk nadziei.

– Linuksie! Jakże się cieszę, że cię widzę! – Horus, kapitan portu, był niegdyś dowódcą statku. Pochodził z Tyru. Lubił opo-

wiadać, jak to kiedyś dowodził fenickim statkiem pirackim, lecz Linuks wiedział, że człowiek ten już od dawna dobrze służy Rzymowi zarówno na lądzie, jak i na morzu. Wiele lat temu spadła na niego podczas sztormu belka masztowa i przygoździła go do pokładu. Gdy szedł w kierunku Linuksa z wyciągniętą dłonią, jego krok był chwiejny niczym statek na wzburzonym morzu.

– Jakie wieści z Rzymu?

– Kobiety są piękne, jak zawsze – Linuks zdobył się na ironiczny uśmiech, jakiego kapitan portu by po nim oczekiwał. – I teraz jest znacznie smutniej, bo mnie już tam nie ma.

– A mężowie mogą odetchnąć z ulgą, jak mniemam – Horus klepnął Linuksa po plecach i skierował w stronę kamiennego domku, w którym prowadził ewidencję statków przyplływających i wypływających z portu. – Napijemy się czegoś.

– Moje rzeczy...

– Idź i przynieś je – Horus skinął na swego pomocnika, po czym dodał: – Chodź, Linuksie, chcę usłyszeć opowieści o tych wszystkich płaczących za tobą damach.

Gdy już znaleźli się w zacienionym pomieszczeniu, dobry humor kapitana zniknął jak poranna mgła na Morzu Śródziemnym.

– Wina?

– Poproszę herbatę. Mam dużo do załatwienia przed zachodem słońca.

– Domyślam się – Horus wystawił głowę za drzwi i wrzasnął: – Gdzie się podział ten parszywy pies?!

– Tu, panie!

– Przynieś herbatę! I dobre jedzenie!

– Tylko herbatę – sprostował go Linuks.

Kapitan portu spojrział na niego z ukosa.

– Druhu, byłeś na morzu ładnych kilka tygodni!

– Prawie dwa miesiące – przytaknął Linuks. – Ostatni raz cumowaliśmy statek dwa tygodnie temu.

– Ledwie dwie godziny temu dostaliśmy świeży chleb...

– Wystarczy herbata. Bardzo dziękuję – Linuks zignorował burczenie w brzuchu. Horus wydał służącemu odpowiednie polecenie i opadł na krzesło.

Linuks zauważył, że na stole pod oknem leży pełno map i zwojów. Odznaka urzędowa mężczyzny i pieczęć cesarza przytrzymały rozwinięty dokument z wykazem ładunków, oczekujący zapewne na obliczenie należnego cła.

Horus zapytał ponownie, tym razem spokojniej:

– Jakie wieści z Rzymu?

– Na pewno chcesz je usłyszeć, stary przyjacielu?

– Wszyscy w Cezarei żerują na pogłoskach, wszystkie są niepomyślne. Prawda nie może być gorsza.

– Nie zakładałbym się o to.

– Więc to prawda. Sejan¹ ma kłopoty.

Linuks westchnął i spojrział przez okno. Odkąd cesarz Tyberiusz wycofał się z życia politycznego i osiadł w swym pałacu na Capri, Rzymem władał jego zastępca, Sejan, którego jedynym oficjalnym tytułem było stanowisko prefekta gwardii pretoriańskiej. Nominalnie Tyberiusz pozostał władcą imperium, lecz był w coraz większym stopniu zainteresowany jedynie własnymi przyjemnościami. Najbardziej martwiło Linuksa to, że wielu bogatych i wpływowych obywateli Rzymu idzie za przykładem cesarza pozwalając, by każda rozrywka, jaka im się spodoba, doprowadzała ich do coraz większej rozpusty i deprawacji.

¹ W rzeczywistości Lucius Aelius Seianus został zgładzony na rozkaz Tyberiusza w 31 r. n.e. Przypis tłumacza.

– Sejan ciągle walczy z senatem – powiedział w końcu Linuks.
– I przegrywa.

Kapitan portu się skrzywił.

– To nie wróży dobrze dla takich jak ja czy ty.

W drzwiach pojawił się służący.

– Herbata, panie.

Linuks wziął kubek i kiwnął w podziękowaniu, po czym powiedział:

– Przejdźmy się.

– Słońce pali niemiłosiernie.

– Siedzenie w ukryciu stanowi dla nas obu niebezpieczeństwo
– wymamrotał.

Horus wyszedł za nim na popołudniowy skwar.

– Tak bardzo boisz się szpiegów?

– Nie jestem jeszcze pewien, z czym mamy do czynienia – wyrzekł przyciszonym głosem Linuks. – Mogę ci tylko powiedzieć, czego się dowiedziałem przybywszy do Rzymu.

– W takim razie mów.

Horus był długoletnim przyjacielem Linuksa i jednym z jego najbardziej zaufanych sojuszników. Linuks wiedział, że cokolwiek mu powie, zostanie powtórzone ku przestrodze żołnierzy z miejscowego garnizonu. W stolicy prowincji wieści szybko się rozchodziły, a podawane dalej informacje dawały teraz jedyną nadzieję na przeżycie.

Czternaście miesięcy wcześniej Linuks wrócił do rodzinnego domu w północnej Italii. Umarła pierwsza żona jego brata i Kastor właśnie żenił się powtórnie. W związku z tym Linuks otrzymał od niego oficjalne wezwanie – starszy brat skorzystał z okazji, by podać próbie jego lojalność. Jedyne fakty, który Linuks ominął w opowieści, to zabawy z bratanicami, córkami Kastora z pierwszego

małżeństwa. Małe dziewczynki okropnie tęskniły za matką, a na dodatek ojciec zaczął potem poświęcać więcej uwagi swojej nowej, młodej żonie, więc czuły się zupełnie zagubione i odrzucone.

Przebywając w Umbrii, Linuks słyszał o wydarzeniach mających miejsce w stolicy. Stary cesarz, Tyberiusz, wydawał się niezdolny do skupienia się na czymkolwiek poza swoimi ogrodami na Capri. Jego zastępca, Sejan, wciąż popadał w konflikty z senatem. Ten zaś, wbrew Sejanowi i Tyberiuszowi, zarządził pełen niesławy powrót Poncjusza Piłata z Judei. Na miejsce Piłata mianowany został zaufany sojusznik senatu, niejaki Marcellus.

Na szczęście Linuks nie znalazł się w samym środku owego politycznego zamieszania. Nie musiał też towarzyszyć Piłatowi, który otrzymał rozkaz stawienia się przed senatem. Piłat mógł zostać wygnany lub nawet stracony, a wraz z nim cała kadra starszych oficerów, więc fakt, że Linuksa to nie dotknęło, był rzeczą nad wyraz korzystną.

Lecz to, co zastał w Rzymie, tak go wytrąciło z równowagi, że nawet teraz, gdy przebywał wiele setek mil od stolicy, jego żołądek wciąż się nieprzyjemnie zaciskał.

Horus w milczeniu wpatrywał się w zatłoczony port w Cezarei, choć Linuks wątpił, by jego przyjaciel cokolwiek w tej chwili zauważał. W końcu rzekł:

– Jak prosty żołnierz służący na morzu ma to wszystko przetrwać?

Linuks powtórzył zdanie, które usłyszał od przyjaciela w Rzymie:

– Trzeba być niezwykle ostrożnym we wszystkim, co się mówi, co się robi – może nawet w tym, co się myśli.

– Kiedy przyjeżdża nowy gubernator? – Horus oparł się o kamienny mur okalający port.

– Miał wyruszyć tydzień po moim wyjeździe. Ja dostałem rozkaz przybycia przed nim i... – Linuks machnął ręką. Dalsza rozmowa o sprawach imperium z kapitanem portu byłaby niewłaściwa. Zamiast tego powiedział: – Spotkały nas dwa sztormy. Nie umiem powiedzieć, kiedy ani do którego portu przyplynie jego okręt.

Dwaj chłopcy akurat przebiegali obok nich po kamiennym murze, a ich uśmiechnięte twarze znalazły się na tej samej wysokości co oblicza obu mężczyzn.

– Wujku, pobaw się z nami – zagadnął jeden z nich.

– Nie widzicie, że jestem zajęty? – w szorstkiej odpowiedzi Horusa słyhać było sympatię. Gdy chłopcy ze śmiechem pobiegli dalej, Horus wymruczał pod nosem z ledwo ukrywaną dumą:

– Małe nicponie.

– Jesteś ich wujkiem?

– Tak jakby. Ich ojciec był moim przyjacielem. Trzy zimy temu jego statek wypłynął i już nigdy nie wrócił. Zostali przeze mnie zaadoptowani. Tak samo zresztą, jak przez połowę ludzi, którzy dla mnie pracują. Ci dwaj raz są uroczy, a za chwilę łobuzuja.

Linuks wychylił się, żeby popatrzeć, jak chłopcy dobiegają do miejsca, gdzie stary marynarz naprawiał sieć. Niższy wziął jedno z czółenek w kształcie strzały. Stary żeglarz ujął rączkę chłopca w swoją dłoń i pomógł mu przeciągać szorstki sznurek, podczas gdy starszy chłopiec w milczeniu przyglądał się tej scenie. Jakby na jakiś niewidzialny znak, chłopcy zaczęli śpiewać piosenkę o łowieniu ryb letnim świtem i o kobietach czekających w domu. Najwyraźniej nauczyli się tej piosenki od mężczyzn wypływających z portu. Marynarz, odchyliwszy głowę do tyłu, zaśmiał się głośno i ochryple.

Nagle Linuks zapytał:

– Myślałeś kiedyś o tym, żeby się ożenić?

Horus skierował się w stronę kamiennego domku.

– Kobiety i morze są jak oliwa i woda. Nie mieszają się ze sobą.
Linuks podążył za nim.

– Słyszałem to samo o żołnierzach i żonach.

Oczy Horusa rozszerzyły się z wyraźnym zaniepokojeniem.

– Nie mów, że jakaś panna z Rzymu skradła ci serce.

– Z Umbrii – przyznał Linuks. – I nie jedna, lecz dwie. Córeczki
mojego brata. Śmieją się tak samo, jak ci dwaj chłopcy.

– A potrafią tak samo rozrabiać?

– Bez wątpienia.

Linuks znów spojrział na chłopców i poczuł ukłucie w sercu na wspomnienie ostatniego dnia spędzonego z bratanicami. Gdy wszedł do ich pokoju, kłóciły się o małą, wyrzeźbioną w drewnie lalkę. Delikatnie się z nimi podroczył sprawiając, że się pogodziły, a w ich oczach pojawił się uśmiech. Lecz nie trwało to długo. Kiedy powiedział im, że wyjeżdża do Rzymu, załaly się łzami i nie dały się pocieszyć.

Linuks kopnął zdartym sandałem kamyk na drodze próbując ukryć emocje, po czym ośmielił się szepnąć, kierując słowa ku słońcu i gorącemu letniemu wiatrowi:

– Naprawdę za nimi tęsknię...

Dwa dni później Linuks wyruszył z Cezarei do Jerozolimy w towarzystwie oddziału konnego. Nie planował z nimi podróżować, jednak taki rozkaz wydał Bruno Aetius, trybun garnizonu w Jerozolimie. Pod nieobecność gubernatora, trybun dowodził wszystkimi siłami rzymskimi w Judei i polecił stanowczo, by żołnierze nie poruszali się po kraju w pojedynkę. Z tej właśnie przyczyny Linuks dołączył do jednego z oddziałów.

Nie żałował, że opuszcza Cezareę, co mogło dziwić, gdyż było to jedyne prawdziwie rzymskie miasto w całej prowincji. Nie żywił też absolutnie żadnych ciepłych uczuć do Jerozolimy, jednak w tym momencie chyba już ją wolał. Cezarea, rzymska stolica Judei, była teraz jak gotujący się kocioł. Wrzało od pogłosek, a ludzie się bali. *A wieści z Rzymu...* Linuks potrzęsnał głową.

Pierwszą noc spędzili w opuszczonej wiosce – tej samej, w której dwa lata wcześniej schronił się przed wiosenną ulewą w towarzystwie nowo poznanego człowieka. Ów człowiek stał się potem jego przyjacielem.

Tego wieczora przy ognisku Linuks zapytał dowódcę oddziału:

– Znałeś setnika Albana?

– Słyszałem o nim – odpowiedział żołnierz. Doświadczony w boju, w średnim wieku, nosił imię Cyrus, które sugerowało, że pochodzi z odległej prowincji, trzymającej się wciąż greckiej kultury. – Był twoim przyjacielem?

– Być może najlepszym, jakiego miałem szczęście poznać.

Cyrus nie odpoczywał przy ogniu. Nie siedział na krzeselku, ale raczej przycupnął na jego brzegu. Oczy dowódcy nieustannie obiegały okolicę, przynajmniej na tyle, na ile oświetlały ją trzy ogniska w rozbitym przez żołnierzy obozie.

– To prawda, co mówią, że ten setnik stał się Judejczykiem?

– Poślubił judejską kobietę i zrezygnował ze służby. To prawda.

– Nie chciałem cię urazić, panie.

– Nie czuję się urażony. A póki jesteśmy w drodze, mów mi po imieniu – Linuks przyjrzał się żołnierzowi siedzącemu po drugiej stronie ogniska. Po porządnym posiłku, przy zabezpieczeniu podwójnymi strażami, spodziewał się z jego strony większego rozluźnienia. – Spodziewasz się jakichś kłopotów?

– Na tych drogach – zawsze. Wiele się zmieniło, odkąd wyjechałeś.

– Myślałem, że jak wyjeżdżałem, to już było źle.

– Wtedy było źle, teraz jest jeszcze gorzej.

Linuks pokiwał głową.

– Nie mówię o zmianach na górze – powiedział Cyrus. – Gubernatorzy przychodzą, rządzą jakiś czas, potem odchodzą. Mnie obchodzą ludzie pod moim dowództwem.

– Mój przyjaciel Alban mógłby powiedzieć to samo.

Ponieważ Cyrus nadal wpatrywał się w mrok, Linuks kontynuował: – Piłat planował go wygnąć za uchybienie w służbie, choć tak naprawdę Alban nikogo nie zawiódł. Po prostu zdał raport, którego treści Piłat nie chciał słuchać. Ale zanim Alban miał odjechać do nowego miejsca przydziału... – przerwał w pół słowa, gdy Cyrus skoczył na równe nogi.

Linuks również wstał i chwycił miecz, nasłuchując uważnie, lecz nic nie usłyszał. Noc była cicha, bezwietrzna. Ich ognisko strzelało, a iskry wznosiły się ku rozgwieżdżonemu niebu.

– Co się stało?

– Być może nic – Cyrus schował miecz, nie wiadomo kiedy dobyty, po czym stopniowo opadł na siedzenie. – A jakie wieści twój przyjaciel przyniósł gubernatorowi?

– Powiedział mu, że judejski Prorok znany jako Jezus z Nazaretu, ten, który został ukrzyżowany... że On żyje.

Cyrus skupił całą uwagę na Linuksie.

– Słyszałem tę plotkę. Jego wyznawców przybywa w błyskawicznym tempie.

– Alban jest jednym z nich.

Naraz ciemności przeszył przenikliwy krzyk, po czym żołnierz stojący przy skraju najbliższego ogniska padł na ziemię. Cyrus podskoczył wrzeszcząc:

– Do broni!

Noc w jednej chwili napełniła się dźwiękami. Linuks przekoziółkował i doskoczył do swojej drewnianej tarczy, podczas gdy obozowisko zostało zalane strzałami. Dwie z nich wbiły się w jego tarczę. Linuks przesuwiał się na kuckach, schylając głowę tak nisko, że znajdowała się niemal na jego kolanach. Dostrzegł, że nawet legionieści, którzy jeszcze przed chwilą mocno spali, teraz siedzą skuleni pod swoimi tarczami.

Znów w jego tarczę uderzyły groty strzał; jedna o mały włos trafiłaby w goleń. Któryś z żołnierzy wrzasnął z bólu.

– Kryją się za kamieniami, od zachodu! Do ataku! – dał rozkaz Cyrus.

Linuks, tak jak inni, wydał z siebie okrzyk bojowy. Dobył miecza i popędził w stronę skał. Wskoczył na nie, mając Cyrusa po prawej stronie, lecz zastali tam tylko piach lśniący srebrem w świetle gwiazd.

– Trójkami! Rozdzielić się! Przeszukać każdy kąt!

Cyrus schował miecz i skinął ręką na Linuksa, by razem z nim wrócił do obozu. Gdy Linuks pomógł opatrzeć dwóch rannych, spytał:

– Mam iść na zwiady z twoimi ludźmi?

– Nic nie znajdują, ale dałem rozkaz na wszelki wypadek. Te ataki są zawsze takie same: przychodzą w nocy, uderzają podstępnie i cicho, po czym wycofują się i znikają.

Cyrus poklepał jednego z żołnierzy.

– Rany są powierzchowne. Obmyjemy je i opatrzymy. Jutro będziecie mogli dosiąść koni. Chirurdzy zostawią wam kilka blizn, którymi będziecie się mogli chwalić przed kobietami.

Cyrus podniósł głowę i przywołał z powrotem swoich ludzi. Wrócili z twarzami zwróconymi w stronę wroga, co było taktyką wpojoną na tyle, że dowódca nie musiał im tego nakazywać. Linuks wiedział, że tej nocy żaden z nich nie zaśnie.

- Kim byli atakujący?
- Nie mamy żadnej pewności.
- Jak to, nie złapaliście ani jednego?
- Żadnego, a ataki trwają od ośmiu miesięcy.

Linuks pomyślał o bandytach, z którymi miał do czynienia wraz z Albanem.

- Partowie?
 - Nie docierają tak daleko na zachód. Choć słyszeliśmy, że są coraz śmielsi na drodze do Damaszku. Nie, to jest problem powstały tu, w Judei.
 - A mają jakąś nazwę?
- Cyrus ogarnął wzrokiem ciemności.
- Nazywają siebie zelotami.



ROZDZIAŁ TRZECI

Ezdrasz zawsze doznawał lekkiego uczucia zazdrości, gdy odwiedzał Gamaliela w dzielnicy świątynnej w Jerozolimie. Ze Świątyni do cytadeli, z jednego centrum judejskiej władzy do drugiego, prowadziła szeroka droga. Większość członków Sanhedrynu, rady świątynnej, mieszkała właśnie przy tej drodze. Lecz zazdrość Ezdrasza wzbudzała nie pozycja Gamaliela wśród kapłanów Świątyni czy szerzej pojętej wspólnoty Judejczyków, lecz zgoła coś innego.

– Witaj, stary przyjacielu. Witaj – Gamaliel, starszy faryzeusz i długoletni mentor Ezdrasza, zaprosił swego przyjaciela do głównego pomieszczenia. Rozciągał się zeń widok na podwórze. Stojąca pośrodku niego fontanna tworzyła małe tęczę, które rozwiewał popołudniowy wiatr.

– Jak było w Aleksandrii? – Gamaliel wskazał Ezdraszowi krzesło przy małym drewnianym stoliku.

Siadając Ezdrasz westchnął i pokiwał głową.

– Pełno tam chaosu i zamieszania, jak i wszędzie w imperium.

Ezdrasz był starszym kupcem; teren jego działalności handlowej rozciągał się od Jerozolimy aż do Damaszku na wschodzie i do Rzymu na zachodzie. Kiwnął w podziękowaniu, gdy sługa

w tradycyjny sposób umył mu ręce i nogi. Wziął srebrny kielich i skosztował wody owocowej. „Ten kapłan z pewnością żyje w dobrobycie” – zauważył w myślach, rozglądając się po dużym pomieszczeniu.

– A co nowego w Jerozolimie?

– Tyle się wydarzyło... – Gamaliel zawiesił głos, usłyszawszy pospieszne kroki na dole, w jednym z bocznych pasaży. Obaj mężczyźni odwrócili się w stronę okolonego łukiem wejścia.

– Ezdrasz! – wchodząca kobieta szybko przemierzyła pokój, niemal potykając się z pośpiechu i z radości. – Jak mogłeś tak długo nie wracać?!

– Mieliśmy pewne trudności, Miriam. Wybacz mi.

– Czy twój syn i córka mają się dobrze? – usiadła na drewnianej ławce opodal krzesła.

– Podróż wydawała się im służyć, w przeciwieństwie do ich zmęczonego ojca.

– Są młodzi. Bez nauczycieli i bez ograniczeń, pojechali szukać przygód z ukochanym ojcem. Nic dziwnego, że wyprawa im się podobała. Nasz syn płakał niepokieszony, gdy usłyszał, że zabrałeś swoje dzieci.

– Następnym razem i on może z nami pojechać.

Miriam pogroziła palcem.

– Jeśli ośmielisz się choćby wspomnieć mu o czymś takim, to już ja ci...

– Ciii, Miriam – skarcił ją mąż, choć uśmiechał się przy tym.

– Wstydź się.

Ezdrasz słuchał, jak kobieta rozprawia z mężem o dzieciach, po czym zaczęli z Gamalielą dyskutować o zmianach, które zaszły w Jerozolimie – o odwołaniu Piłata i oczekiwanym przyjeździe nowego gubernatora, Marcellusa. Krążyły też pogłoski, że

trybun garnizonu w Jerozolimie, Bruno Aetius, ma być odesłany z powrotem do Damaszku. Niektóre z tych wieści Ezdrasz już słyszał w Aleksandrii, inne były dla niego nowe. Starał się skupić uwagę, bo ci dwoje byli inteligentnymi, zaufanymi przyjaciółmi z koneksjami. Lecz zazdrość wytworzyła w jego sercu i umyśle jakby chmurę bólu i żalu, tak że trudno mu było uczestniczyć w rozmowie.

Miriam i zmarła żona Ezdrasza były niegdyś najlepszymi przyjaciółkami. Dwoje dzieci Miriam i Gamaliela było niemal dokładnie w tym samym wieku co jego dzieci – miały cztery i sześć lat. Ale ich dom był kompletny, pełny stabilnej miłości, podczas gdy jego dom rozpadł się na kawałki.

Dwa lata wcześniej jego ukochana młoda żona poślizgnęła się na mokrych kafelkach i upadła. Wydawało się, że to nic takiego – jeden siniak na łokciu i drugi tuż nad skronią. Trochę ją bolało, ale nie na tyle, by wszczynać alarm. Jednak tej samej nocy powiedziała, że odczuwa ból i kręci się jej w głowie.

Zmarła zanim nadszedł ranek.

Wewnętrzna agonia Ezdrasza z czasem się zmniejszyła. Nieco lekarstwa dla głębokiego smutku odnalazł w opiece nad dwójką swoich małych dzieci, jednak w sercu nosił tęsknotę za tym, co utracił. I nigdzie bardziej tego nie odczuwał niż tu – w przepelnionym pokojem domostwie starego przyjaciela.

Służąca przyprowadziła podekscytowane dzieci, które zadawały mnóstwo pytań, a jego serce tym bardziej odczuwało stratę. Wreszcie Miriam zabrała dzieci i ich opiekunki, a Gamaliel kazał reszcie służby wyjść i zamknąć drzwi. Komnatę spowił cień – tak głęboki, jak skrzywiona nagle mina gospodarza.

– Są problemy.

– Zeloci? – spytał Ezdrasz.

– Nie. Znaczy, tak. Oni też.

– Słyszałem, że ich ataki stały się niewiarygodnie śmiałe.

– Ataki... Tak, istna plaga. Ale gorsze jest to, że zyskują popularność wśród ludu.

– Przy ogniskach nocujących karawan słyszałem piosenki na ich temat – powiedział Ezdrasz. – Jedna była bardzo prosta i przemawiająca do serc. Coś o nowym judejskim Dawidzie pokonującym rzymskiego Goliata. Mój syn ją teraz śpiewa podczas zabawy.

– Ludzie są uciskani i potrzebują bohaterów – rzekł Gamaliel.

– To dość naturalna reakcja.

Była to jedna z najbardziej niezwykłych cech tego człowieka. Ezdrasz miał świadomość, że większość ludzi, osiągnąwszy pozycję i władzę, stawała się coraz bardziej nieugięta w swych opiniach. Tracili zdolność kwestionowania własnych poglądów czy patrzenia z punktu widzenia drugiej osoby. Jednak Gamaliel był świetnym pośrednikiem. Łagodził konflikty dociekając wnikliwie, jakimi motywami kierują się inni. Był to prawdziwy dar – ta umiejętność słuchania, badania i szanowania cudzego punktu widzenia.

Jednak Ezdrasz nie miał złudzeń.

– Stanowią zagrożenie dla nas i dla naszej pozycji w społeczeństwie. Zeloci zniszczą wszystko, co jest nam drogie. A Rzymianie w końcu wygrają i zniszczą nas razem z zelotami.

– Sugerujesz, że mamy pomagać Rzymianom? – pytanie zostało zadane półszepem, lecz stanowczo.

– Kusi mnie taka perspektywa. Lecz ja nie mógłbym się zgodzić na taki krok.

– Właśnie. Judejczycy pomagający Rzymianom zabijać Judejczyków. Byłoby to odrażające.

– Sanhedryn już tak wcześniej robił – brwi Ezdrasza podniosły się znacząco.

Gamaliel nic na to nie odrzekł.

– Mówię o tym ukrzyżowanym Proroku, co Go zwą Jezus z Nazaretu.

– Wiem, o kim mówisz – Gamaliel wstał i podszedł do okna. – Wymyślili dla siebie nową nazwę.

– Kto?

– Uczniowie zmarłego Proroka. Nazywają siebie wyznawcami Drogi.

Ciężkie zasłony okienne rzucały delikatny pastelowy cień na rysy jego przyjaciela. Lecz i tak Ezdrasz widział, że jest on rzeczywiście zmartwiony.

– A jakie to ma dla nas znaczenie, jak siebie nazywa garstka galilejskiego motłochu?

– Już nie tylko garstka, i nie tylko z Galilei. Niektórzy szacują ich liczbę na trzy tysiące, inni na pięć, albo i więcej.

– Niemożliwe! – Ezdrasz podniósł się z miejsca.

– Być może. Ale mam informacje z zaufanego źródła – tu Gamaliel wymienił imię starszego kapłana z synagogi Libertynów, miejsca spotkań wielu obdarzonych wolnością niewolników, zwłaszcza Judejczyków z dalekich regionów imperium, gdzie wciąż mówiło się głównie po grecku.

– Mówi, że tamci szerzą się jak zaraza, zwłaszcza wśród jerozolimskiej biedoty.

– Zupełnie jak esseńczycy – wymruczał pod nosem Ezdrasz, siadając z powrotem na krześle.

– I tak i nie. Ruch esseński z pewnością rozwinął się w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Mówi się, że po Judei porozrzucanych jest około pięćdziesięciu wspólnot. Niektóre mają kilka tuzinów członków, inne nawet tysiąc. Jedno z największych zgromadzeń znajduje się na wschód od Góry Oliwnej, drugie na zachodnim

brzegu Morza Martwego. Niektóre wymagają celibatu i przyjmują tylko mężczyzn, inne są zasiedlone przez całe klany. Wszystkich jednocześnie nienawidzą do Sanhedrynu i do kapłanów świątynnych, których uważają za skorumpowanych. Ale dotąd nie sprawiali kłopotów, wybierając odseparowanie od reszty ludności i czekanie na Mesjasza, który przyjdzie i uratuje naród. Jednak w obliczu ostatnich niepokojów politycznych i religijnych...

– Nie rozumiem – przerwał Ezdrasz. – Myślisz, że nawet esseńcy będą teraz namawiać do przemocy?

– Nie. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Mówią wiele niezwykłych rzeczy – odpowiedział Gamaliel, nadal patrząc w stronę okna. – Ale nic o przemocy.

– A czy ci...ci nowi uczniowie zmarłego Proroka dołączyli do zelotów?

– Nie. Oni też mówią o pokoju – kapłan wzdrygnął się. – Gdyby zmienili zdanie... Cóż za okropna myśl.

– Ja nadal nie...

– Ja też nie – Gamaliel cofnął się do swojego krzesła. – Jedno, co wiem na pewno, to fakt, że ci wyznawcy Jezusa rosną licznie szybciej niż jakakolwiek sekta do tej pory. A razem z nimi rosną też opowieści o nich. Nadal twierdzą, że ich Prorok Jezus powstał z martwych, że chodził pomiędzy nimi i wstąpił do nieba. Twierdzą, że to On jest prawdziwym Mesjaszem. Twierdzą...

– Tak?

– Mówią o cudach – powiedział Gamaliel. – O znakach i cudach. O rzeczach, które rozpalają pasję w każdym, kto o tym usłyszy. Ludzie albo do nich dołączają, albo stają się ich wrogami. Wszędzie się o nich mówi. Jeśli cokolwiek miałyby nimi zachwiać, obawiam się, że byłaby to burza o takiej sile, że zmiotłaby wszystko.

Ezdrasz wiercił się na swoim krześle.

– Gdybym usłyszał to od kogoś innego, odrzuciłbym to jako bzdury.

– Ale mówię do ciebie ja, stary przyjaciel, i to nie są żadne bzdury. Jak długo cię nie było? Cztery miesiące?

– Prawie pięć.

– Więc w ciągu pięciu miesięcy wyznawcy urosli w siłę, z którą musimy się liczyć.

– Mniemam, że w takim razie Sanhedryn jest tym bardzo zaniepokojony. Co zaproponował?

– Członkowie Sanhedrynu ciągną za swoje brody i patrzą w podłogę. Myśleli, że jak Prorok umrze, motłoch się rozejdzie. Dopiero zaczynają akceptować fakt, że jest to coś nowego. A wielu dochodzi do wniosku, że ten zmarły Prorok faktycznie jest długo oczekiwanym Mesjaszem. Ten ruch bardzo rośnie w siłę w całym społeczeństwie. Trzeba temu stawić czoła.

Ezdrasz zauważył zmianę tonu w głosie przyjaciela.

– Masz na to jakiś pomysł, prawda?

– Pomyśl. Oni nie mają żadnych sojuszników w strukturach władzy. Chciałbym, żebyś poszedł porozmawiać z ich przywódcami.

Ezdrasz nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Chyba nie mówisz poważnie. Ja jestem tylko zwykłym kupcem...

– Dokładnie. Nie muszą się z twojej strony niczego obawiać – Gamaliel podniósł ze stołu pergamin. – Tu masz listę ich przywódców, których udało nam się zidentyfikować. Nazywają ich apostołami. Nazwy ulic to miejsca, w których lokalni wyznawcy otworzyli swoje domy dla całej grupy. Niektórzy oddali swoje ziemie, które teraz służą jako obozowiska poza bramami miasta. Idź, spotkaj się z nimi. Najwyraźniej są biedni. Uczyni z nich naszych

sprzymierzeńców. Jeśli trzeba, zaoferuj świątynne złoto. Zbadaj, czy można im ufać. Dowiedz się, jakie mają zamiary. I opowiedz wszystko tylko mnie, przyjacielu. Nikomu innemu.

Ezdrasz był człowiekiem utalentowanym w wielu dziedzinach. Jako dwunastolatek, syn kupca z Tyru, przybył do Jerozolimy, by studiować u faryzejskiego uczonego. Niektórzy mówili, że ów człowiek był najlepszym żyjącym nauczycielem Tory na świecie. Gdy Ezdrasz do niego przyjechał, Gamaliel studiował u tego nauczyciela już od prawie dwóch lat. Gamaliel wziął młodego Ezdrasza pod swoje skrzydła i pomógł przystosować się do obcego świata Świątyni, Jerozolimy i nauki. Ezdrasz wkrótce zauważył, że jerozolimscy uczeni mówią o Gamalielu z podziwem, gdyż umysł tego młodego człowieka chłonał wersety i komentarze niczym morska gąbka. Gamaliel potrafił raz przeczytać lub usłyszeć dany tekst, po czym bezbłędnie go wyrecytować. Już wtedy nazywali go *cadik*, czyli oddzielony przez Boga do specjalnych celów.

Ezdrasz nigdy nie posiadał takiego umysłu jak Gamaliel. Ale mało go to obchodziło. Przyjechał studiować jako najstarszy syn, gdyż taka była rodzinna tradycja. Tak uczynił kiedyś jego ojciec, a wcześniej ojciec jego ojca i tak przez siedem pokoleń wstecz, od czasu, gdy Machabeusze wyzwolili Świątynię i uczeni powrócili do Jerozolimy. Ojciec Ezdrasza, nim wyprawił syna na południe, wyznaczył mu dwa zadania. Miał oczywiście studiować Talmud, być posłuszny nauczycielowi i przynosić honor rodowemu nazwisku. Ale było coś jeszcze. Ezdrasz miał szukać sojuszników wśród hierarchii świątynnej i w Jerozolimie. Ojciec zapewnił go, że takie silne przyjaźnie, zawiązane we wczesnych latach życia, z biegiem lat przyniosą wielki owoc.

Ezdrasz powiększył rodzinny majątek. Wysłał młodszych braci, by założyli nowe ośrodki na Cyprze, w Tarsie i Damaszku. Jego siostry wyszły za mąż, a przez ich małżeństwa Ezdrasz zawiązał kolejne potężne sojusze. Ostatnio odnowił kontakty z dalekimi krewnymi, poszerzając swój teren handlowy aż do hiszpańskiej Galii na zachodzie, a ostatnio do Aleksandrii na południu.

Oczywiście, ojciec miał rację. Przyjaźń z Gamaliem przyniosła wielkie owoce. Przez wiele lat Ezdrasz był największym dobroczyńcą Gamaliela. Kapłan piał się po szczeblach kariery, aż wreszcie został członkiem Sanhedrynu, a tym samym wzrastały również potęga i wpływy Ezdrasza. Lecz to nie wszystko. Ezdrasz miał sojuszników w wielu różnych miejscach, a przyjaźnie te zostały zawarte w sekrecie i utrzymane w najwyższej dyskrekcji.

Były to niebezpieczne czasy. Sytuacja w imperium rzymskim prowokowała do buntu, zwłaszcza tu, na wschodzie. Zeloci rośli w siłę, a zasięg ich działania był większy niż Gamaliel zdawał sobie sprawę, gdyż od lat nie opuszczał Jerozolimy. W całym kraju było o nich głośno. Coraz więcej młodych mężczyzn, rozwścieczonych uciskiem rzymskiego buta na swoich karkach, rzucało pasterskie laski, narzędzia i skórzane fartuchy, by wymknąć się z pól, sklepów i kuźni. Zamiast tego brali do rąk miecze i walczyli dla sprawy zelotów. Rodziny zmagwały za nich *kadisz*, modlitwę za zmarłych, bo wiedziały, że już ich nigdy nie zobaczą. Jeśli ktoś przyłączył się do zelotów, jedyną możliwością odejścia była śmierć – albo w walce, albo – w przypadku zdrady – od miecza innego zeloty.

Wielu młodych służących Ezdrasza już poszło za wezwaniem do przygody, chwały i służby krajowi. Dość wcześnie zorientował się, że wszelkie próby ich zatrzymania są bezcelowe. Rozgłosił więc, że chciałby spotkać się z przywódcami. Nie po to, by negocjować, lecz aby po prostu zaoferować pomoc. Stał się jednym

z pierwszych kupców, którzy uznali zasługi zelotów. W rezultacie jego karawany nigdy nie były atakowane i jako pierwszy otrzymywał różne wiadomości. Tak jak w przypadku jego innych sprytnych decyzyj biznesowych, czerpał z tego wielkie zyski.

Co do tej nowej grupy, wyznawców zmarłego Proroka Jezusa, plan Ezdrasza był prosty. Jeśli rosna w liczbę tak szybko, jak sugerował Gamaliel, musi pozyskać sobie nowych przyjaciół. Tak, oczywiście, pomoże Gamalielowi w zdobyciu informacji. Ale co szkodzi, żeby samemu też coś przy tym ugrać? W końcu był synem, wnukiem i prawnukiem wyśmientych kupców.

Schował listy, które dał mu Gamaliel, po czym zrobił tak, jak robił już wiele razy w przeszłości: przez swych pracowników i sojuszników rozpuścił wieści, że chciałby się zobaczyć z przywódcami tej grupy. Zapewnił, że jest nimi zainteresowany. Nic więcej. Chciałby coś zyskać, czegoś się dowiedzieć, zaoferować pomoc. Przychodzi w pokoju.

Cóż w tym było złego?



ROZDZIAŁ CZWARTY

Dzień był już gorący, choć promienie słońca ukazały się nad wschodnim horyzontem. Abigail odgoniła natrętną muchę, która zakłócała jej sen. Dziewczyna miała nadzieję, że jeszcze zaśnie. Powachlowała nad sobą ręką, by się nieco schłodzić i odstraszyć owada.

Ten prosty ruch wyciągnął ją z ramion snu w światło poranka i czekający ją wir obowiązków. Poruszyła się na posłaniu. Co przyniesie dzisiejszy dzień? Czy znowu trud i znój? Kolejne objawienia na temat Mesjasza dla któregoś z przywódców? Wyczekiwane wieści od Albana i Lei? Groźby ze strony tych, którzy nie przyjmowali prawdy? A może nawet powrót Mesjasza?

Zupełnie już obudzona, Abigail usiadła na posłaniu. Dwa lata temu, po nagłej ucieczce Albana i Lei, po całonocnym ukrywaniu się, razem z Jakubem wróciła do swojego mieszkania. Potem przeprowadzili się do małej przybudówki na tyłach sklepu rybnego. Jakub zajął się nauką hebrajskiego, angażując się w nią w różnym stopniu, w zależności od tego, czy tego dnia miał perspektywy jakiegś innej przygody, podczas gdy Abigail nadal wypełniała swoje obowiązki wraz z kobietami.

Nie usłyszała żadnego ruchu z małego stryszku nad pomieszczeniem, który nazywali domem. Jakub albo jeszcze spał, albo już wyszedł bez niej. Każdego ranka spotykali się w grupie wierzących na modlitwie dziękczynnej i wstawienniczej. Była to wspólna praktyka dla członków ich grupy w całej Jerozolimie.

Abigail zwinęła posłanie i przepchnęła je pod ścianę pokoiku.

– Jakubie, chyba jesteśmy spóźnieni. Nie słyszałeś piania koguta? – zawołała.

Zawsze polegała na kurach sąsiada, które ją rano budziły.

– Jakubie!

Z góry dobiegło stłumione westchnięcie nieprzytomnego chłopaka. W gruncie rzeczy Jakub nigdy nie zaakceptował tego, że Alban wyjechał tak nagle, bez niego, niezależnie od powodów, które nim kierowały. Choć nie mówił nic na ten temat, Abigail czuła jego smutek i niezadowolenie. Wiedziała, że wyjazd Albana pozostawił ogromną pustkę w życiu jej brata. Wiedziała również, że nie lubi pracy cieśli, którą mu przydzielono po jego bar micwie, czyli żydowskiej uroczystości wyznaczającej dojrzałość chłopaka. Patrzyła, jak pod koniec dnia siedzi i nic nie mówi, tylko ogląda swoje dłonie, pełne odcisków i pęcherzy. Abigail mogła wyczytać z wyrazu jego twarzy, co myśli. *Te dłonie nie są stworzone do obrabiania drewna, do zbierania drzazg i odcisków. Nie, te dłonie są stworzone do trzymania miecza. Do dawania rozkazu tym, którymi bym dowodził. Gdyby tylko Alban...* Bywały dni, kiedy Abigail czuła, że powoli, dzień po dniu, traci brata. Stawał się coraz cichszy, coraz bardziej wycofany, a ona nie umiała zrobić nic, by go z tego wydobyć.

Tak jak to robiła już wiele razy wcześniej, przygotowując się do nadchodzącego dnia, wyszeptała w modlitwie:

– Drogi Ojcze, niech dziś przyjdą wieści od Albana. I zachowaj Jakuba...

Usłyszała szuranie, kiedy brat powoli schodził po drabinie z małego poddasza nad jej głową. Miał rozczochrane włosy i szczękę zaciśniętą w grymasie niezadowolenia. Nie odezwał się ani słowem. Nie powiedział nawet „dzień dobry”.

– Dobrze spałeś?

Ledwie skinął głową.

– Musimy się pospieszyć. Zaspałam. Nie słyszałam piania koguta...

– Może Bóg nam pobłogosławił i ptaszysko zdechło.

Abigail rzuciła w jego kierunku szybkie spojrzenie. Wyraz jego twarzy nie zmienił się.

Wyszli razem, przy czym Jakub pozostawał o krok w tyle za siostrą. Ulice już były pełne ludzi, ale handlarze i właściciele straganów jeszcze nie wystawili swoich towarów. Słońce jeszcze nie do końca weszło, więc żaden rzymski żołnierz nie paradował konno po brukowanych uliczkach. Lekki wiatr poruszył liśćmi drzew palmowych nad ich głowami, dając powiew świeżego powietrza, które wkrótce miało stać się duszące od upału.

– Ciekawe, kto poprowadzi dziś poranne modlitwy – zastanawiała się na głos Abigail, mając nadzieję, że wciągnie brata do rozmowy. – Zdaje się, że Piotr i Jan wyjechali.

– A dokąd tym razem? – zrzędził Jakub.

Abigail odwróciła się do niego, a jej serce na nowo wypełnił smutek i żal. Wezbrało w niej pragnienie, by chronić ukochanego brata. Według niej był jeszcze młody; nie miał piętnastu lat, a już wykonywał pracę dorosłego mężczyzny, co było zgodne z ich tradycją. Dzień w dzień nosił, piłował, przycinał i heblował ciężkie kawały drewna oliwnego, cedrowego lub sosnowego. Od świtu do zmierzchu trzymał się pracą, z której nie czerpał żadnej satysfakcji. Abigail wiedziała, że są mężczyźni, którzy uwielbiają

poczuć drewno, gdy przesuwają szorstką, pełną odcisków dłoni po misternej, słojuwanej powierzchni. Rozumieli, jak cudownie Bóg stworzył drzewa i potrafili sobie wyobrazić, co można z nich uczynić poprzez wprawne rzeźbienie i budowanie. Pamiętali też, czym było drewno w rękach Cieśli. Ale Jakub do nich nie należał. Dla niego to była jedynie praca do wykonania – męcząca i nieustająca.

– Słyszałam, że odwiedzają braci w innych miastach – odpowiedziała.

Jakub tylko wzruszył ramionami.

Odległość do miejsca spotkań była wystarczająco duża, by noga znów zaczęła ją boleć. Starła się nie utykać, gdy Jakub najpierw dorównał jej kroku, a potem trochę ją wyprzedził. Poparzenia od wrzątku zagoiły się, ale zabliźniona skóra pozostała napięta i wrażliwa na każdy nacisk lub uderzenie. A takie sytuacje przydarały się jej codziennie. Podnosząc ciężkie gliniane słoje, pracując z innymi kobietami w ciasnej kuchni, często poruszała się tak, że na coś wpadała lub ocierała się, robiąc sobie siniaka albo małą ranę na bliźnie. Zwykle nic nie mówiła, tylko po prostu czekała, aż nowe skaleczenie samo się zagoi. Nigdy nie miała skłonności do narzekania. Nawet w najgorsze dni wołała raczej śpiewać. Ale bywały i takie chwile, kiedy nie potrafiła ukryć utkania ani wyrazu cierpienia na twarzy. Jakub obejrzał się za nią i zwolnił kroku. Ten prosty gest wzruszył ją do łez. Mimo zmiennych humorów, Jakub wciąż chciał jej pomagać i chronić ją. Zawsze wyczuwał, kiedy dawna rana sprawia jej ból.

Dołączyli do innych wyznawców zmierzających na plac. Po krótkich pozdrowieniach zrównali krok i rozmawiali przyciszonymi głosami. Nie chcieli zwracać niczyjej uwagi na rosnącą liczbę osób, które zbierały się w tym miejscu każdego dnia.

Abigail przebiegł znajomy dreszcz emocji. *Czy to będzie ten dzień?*

Kiedy Pan pierwszy raz odszedł wraz z obietnicą powrotu, zaczęli każdy dzień z tym pytaniem w sercach i na ustach. Później pozdrawiali jeden drugiego z tym niewypowiedzianym pytaniem w oczach. Stopniowo nauczyli się akceptować, że Mesjasz może mieć inne plany albo że jest jakiś nieznyany im powód, dla którego Jego powrót się opóźnia. Ich liczba zdecydowanie rosła z dnia na dzień. Dostali nakaz szerzenia Słowa Bożego, przyprowadzania innych, bycia świadkami w Jerozolimie, Samarii i na całym świecie. Czyż nie był to wystarczający powód, by Pan opóźnił swój powrót?

Stopniowo ich grupa zaczęła odkładać na bok pragnienie szybkiego powrotu Jezusa, wychodząc ku tym, którzy potrzebowali usłyszeć prawdę o Jego pierwszym przyjściu na ziemię. Lecz Abigail, choć chciała być przykładną wyznawczynią, miała często nadzieję, że to właśnie będzie ten dzień. Wątpliwości, lęki, zagrożenie – i ból – wszystko to pozostawiają za sobą, gdy ich Mesjasz znów pojawi się między nimi. Już kiedyś poczuła Jego uzdrawiający dotyk, który zabrał głęboki smutek z jej umysłu i serca. A może tym razem jej noga...

Ponownie zerknęła na Jakuba. Była pewna, że gdy Pan powróci, jego smutek znów zmieni się w radosną żywiołowość, którą tak kochała. Chętnie wzięłaby na siebie cierpienie do końca życia, gdyby tylko to mogło się spełnić.

Abigail właśnie szorowała piaskiem garnki i opłukiwała je, żeby były gotowe do przygotowania kolejnego posiłku, kiedy do kuchni wpadła Marta. Plecy miała wyprostowane, a usta zaciśnięte. Abigail od razu wyczuła, że coś się wydarzyło, ale nic nie powiedziała.

Starsza kobieta zatrzymała się, wzięła głęboki oddech i wytarła ręką czoło, odgarniając kilka niesfornych kosmyków. Była zgrzana od popołudniowego upału i zmęczona całym dniem pracy. *Zmęczone ciało i dusza* – pomyślała Abigail, ale się nie odezwała. Wyprostowała się i sięgnęła po ścierkę. Spojrzała Marcie w oczy, szukając wyjaśnienia.

Nie przyszło ono prędko. Marta ostrożnie dobierała słowa.

– Gdybym była młodsza... – wymamrotała w końcu pod nosem.

– Może usiądziesz? Mam jeszcze trochę świeżej wody ze studni.

Marta usiadła. Wciąż była wyprostowana jak struna, a jej podbródek wznosił się w upartym geście ku górze.

Abigail nabrała kubek chłodnej wody. Marta wzięła go bez słowa i długo piła. Oddała puste naczynie i wydawała się nieco odzyskiwać równowagę.

Abigail cichutko zajęła obok niej miejsce na ławce. Marta powie, co się stało, kiedy będzie gotowa.

Ale upłynęło trochę czasu, a Marta wciąż się nie odzywała, więc Abigail zdecydowała, że czeka już wystraszająco długo.

– Powiedziałaś, że chciałabyś być młodsza. Dlaczego?

Marta potrząsnęła głową i wytarła twarz szalem.

– Czyżby spodobał ci się jakiś młody mężczyzna? – dodała Abigail z uśmiechem.

Nawet znana ze stoickiego spokoju Marta, rzuciwszy Abigail zszokowane spojrzenie, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Mężczyzna – zastanowiła się, jeszcze raz lekko przecierając zgrzane skronie i wilgotne włosy. – I do tego młody, powiadasz. A cóż ja bym miała z takim robić?

Abigail wzruszyła ramionami.

– To już ty musiałabyś mi wyjaśnić.

– Nedorzecznosc – powiedziała Marta potrząsając głową, ale jej ton nie był obrażony, a podbródek zszedł nieco w dół. Wachlowała twarz końcem szala.

– No więc...? – spytała Abigail.

Marta potrząsnęła głową i westchnęła.

– Jak my mamy nadążyć z tym nawalem pracy? Każdego dnia przychodzi coraz więcej ludzi. Piotr raduje się z każdej nowej twarzy. Ja też. Ale to nie *Piotr* ich karmi. Nie spędza każdej minuty dnia, pochylając się nad gorącymi garami albo szorując brudne naczynia. Nie, Piotr się tym nie para, tylko nawołuje, żeby przychodzili – Marta machnęła ręką w geście zapraszającym kogokolwiek, kto stanąłby w drzwiach.

Abigail nic nie powiedziała. Wiedziała, że Marta cieszy się tak samo jak wszyscy, gdy do społeczności wierzących dołączają nowi ludzie, lecz jest już zmęczona, przytłoczona zbyt dużą ilością obowiązków i potrzebuje wyrazić swoje uczucia, nie krytykując przy tym nikogo.

– Czy znów mamy dodatkowe osoby...?

– Co najmniej ze dwa tuziny. I podejrzewam, że wszyscy są głodni i zmęczeni. Piotr właśnie zarządził, by ich nakarmić i dać miejsce do spania. A widzisz tu w garach jakąś strawę? Albo wolne miejsce, gdzie można rozłożyć maty? – przy zadawaniu tych retorycznych pytań ręce Marty żywo gestykulowały nad jej głową.

– Chyba mamy jeszcze trochę chleba i koziego sera. I winogrona. Wystarczy dla nich wszystkich? Bóg już wcześniej rozmnażał chleb...

– Oczywiście. A ja o tym zapomniałam – Marta przestała się wachlować i uniosła ramiona. – Jestem tylko starą, zmęczoną kobietą, która nie pilnuje własnego języka. Powinam się wstydzić.

– Cały dzień byłaś na nogach, w tym okropnym upale, obsługując niezliczone ilości ludzi. Nie masz powodu do wstydu. Po prostu...

– Gdybym tylko była młodsza... – tym razem Marta uśmiechnęła się na tę myśl.

– Gdybyś była młodsza, nie miałabyś mądrości, męstwa ani umiejętności potrzebnych do wykonywania tej pracy. A teraz, Marto, posiedź tu sobie trochę i odpocznij. Zawołam młodsze kobiety i dopilnujemy, żeby nowo przybyli dostali strawę. A potem w jakiś, chyba cudowny, sposób, znajdziemy im też miejsce do rozłożenia mat.

Abigail miała nadzieję wywołać jeszcze jeden uśmiech na ustach Marty.

Kobieta zaczęła wstawać, lecz Abigail przytrzymała ją za ramię.

– Musisz odpocząć. Inaczej nie będziemy mogły korzystać z twoich mądrych rad. I co wtedy pocniemy? Potrzebujemy cię. Dzięki tobie idziemy w dobrym kierunku, wszystko jest zorganizowane. Prowadzisz nas i w pracy, i w modlitwie. Bez ciebie sobie nie poradzimy.

Starszej kobiecie łzy napłynęły do oczu. Wzięła Abigail za rękę.

– A ja nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie, Abigail. Nawet z bolącą nogą – och, nie udawaj zaskoczonej, widzę jak się krzywisz z bólu, kiedy myślisz, że nikt nie patrzy – i tak pracujesz za dwie.

Abigail naprawdę była zaskoczona. Myślała, że dobrze ukrywa ból. Ale oczywiście Marta nie dała się oszukać. Ta kobieta miała wyjątkowo bystre oczy i miękkie serce.

– Posiedź – powiedziała Abigail łagodnie. – A ja dopilnuję wszystkiego, co musi być zrobione. Obserwowałam cię wcześniej przy pracy, będę robić to samo co ty.

Marta przytaknęła. Jej oczy wciąż błyszczały ze wzruszenia.

Następnego ranka Abigail zaskoczyło wezwanie przed radę wyznawców. Gdy przyszła, zastała tam również Martę, która jednak patrzyła tylko na prowadzących wspólnotę. Abigail weszła cicho i kiwnęła na powitanie, po czym zajęła miejsce obok starszej kobiety.

– Nie uszło naszej uwadze – zaczął Piotr ze wzrokiem utkwionym w obie kobiety – że nawał pracy staje się zbyt duży. Z każdym dniem przybywa nam ludzi, więc musimy się lepiej zorganizować, żeby nikogo nie przeoczyć, ani nie przeciążać tych, którzy im służą.

Inni pokiwali głowami z aprobatą.

– Wygląda na to, że jedną z największych potrzeb jest troska o wdowy i sieroty. Gdyby oddzielić ich od reszty ludzi, byłoby łatwiej pomóc każdemu – znów rozległ się szmer potakiwania.

– Dyskutowaliśmy trochę na ten temat i uważamy, że potrzebne jest wyznaczenie miejsca wydawania posiłków, gdzie potrzebujący żywności mogliby otrzymać swój przydział. Mogą zabrać produkty do domów lub namiotów i gotować tam. To znacznie zmniejszy ilość jedzenia przygotowywaną tutaj. Marta zaproponowała to rozwiązanie i jest to dobry pomysł. Powinniśmy byli wpaść na niego wcześniej.

Przerwał na chwilę i spojrzał z uznaniem na Martę.

Po co mnie tu wezwali? – zastanawiała się Abigail. *Marta świetnie sobie radzi. Jestem bardziej potrzebna w kuchni...*

– Zauważono, że ty, Abigail – powiedział Piotr lekko przekrzywiając głowę – jesteś najbardziej kompetentna i skuteczna. Zasugerowano, żebyś nadzorowała te nowe punkty dystrybucji żywności.

Marta natychmiast wstała, a jej twarz pობladła.

– Ale... ale ja potrzebuję Abigail w kuchni.

– Do kuchni przeszkolimy inne dziewczęta.

– My? – spytała Marta, podnosząc brwi do góry. – Jak to: „my”? Nie przypominam sobie, abys kiedykolwiek bywał w kuchni, Piotrze.

Możliwe, że Piotr zrobił się czerwony, lecz ukryła to jego broda. Zaśmiał się.

– Masz rację. Nie przeprowadzę żadnego szkolenia. Ale ty, Marto, jesteś w tym jak najbardziej kompetentna. W końcu to ty szkoliłaś Abigail, czyż nie?

Marta zajęła z powrotem swoje miejsce, mamrocząc coś pod nosem.

Piotr zwrócił się do Abigail:

– Czy jesteś gotowa służyć w ten sposób?

Abigail przełknęła ślinę i pokiwała głową. *Tak. Tak, jestem gotowa służyć.*

Ale sama myśl o tak wielkiej odpowiedzialności przerażała ją śmiertelnie. Z drugiej strony, sama była sierotą, więc miała wrażliwość na potrzeby podobnych sobie.

– Jestem gotowa – usłyszała swój własny głos. Jej umysł już wirował wokół tego, co trzeba zrobić, od czego zacząć.

– Dobrze. Więc mamy to ustalone. Porozmawiaj ze Szczepanem. On zarządza wszelkimi zapasami. Opowie ci, czym dysponujemy i razem ustalicie, jak ma przebiegać rozdawanie żywności. Jeśli będziesz miała jakieś pytania, na które Szczepan nie będzie potrafił odpowiedzieć, to przyjdź zapytać o naszą radę. I doberz sobie do pomocy, wedle twoich potrzeb, dwie lub trzy z młodszych kobiet.

Piotr wyglądał na zadowolonego z takiego rozwiązania, a Abigail, wciąż oniemiała, tylko przytaknęła. Zrozumiała, że może od razu zacząć swoje nowe obowiązki i wstała ze swojego miejsca. Marta była już o kilka kroków przed nią.

Prawie dochodziły do schodów, gdy Marta rzuciła przez ramię:

– Chciałam nam jakoś *ulżyć*, a tu co? Piotr, ot tak sobie, zrzuca na twoje barki więcej niż ktokolwiek powinien dźwigać. Abigail, tak mi przykro. Nie powinnam była...

Abigail wzięła ją za rękę.

– Kochana Marto, nie martw się. Nie mam nic przeciw temu. Naprawdę. Chcę służyć wdowom i sierotom. Jest to zadanie, któremu z Bożą pomocą podołam. Taka służba to zaszczyt.

Marta potrząsnęła głową, a wyraz jej twarzy świadczył, że nie da się pocieszyć.

– Będę tęsknić za pracą z tobą – dodała szybko Abigail. – Ale będziemy się często widywać. Będę wpadać i wypadać. Jeszcze będziesz miała dość, że ciągle szperam ci w kuchni...

– No, dość już – przerwała Marta. – Wiem, że starasz się po prostu widzieć jak najlepsze strony tej sytuacji. Niepotrzebnie się wtrącałam i teraz zbieram tego żniwo. I kropka!

– Właściwie – ośmieliła się dodać Abigail – przyzwyczajam się do tego pomysłu i myślę, że jest całkiem niezły. To znacznie zmniejszy nakład pracy w kuchni. A wdowy i ich dzieci będą mogły się poczuć jak rodziny, nawet w tak trudnej sytuacji. I naprawdę myślę – dodała po chwili wahania – że jak już się wdrożę i wszystkiego nauczę, to będę miała wielką radość ze służenia w taki sposób.

– Hmm – mruknęła powątpiewająco Marta.

– Wiesz – powiedziała Abigail przechylając głowę – mam przecucie, że te nowe obowiązki mogą być nawet lepsze niż balie do prania.

Marta mruknęła jeszcze raz, lecz tym razem spojrzała na Abigail z błyskiem w oczach.

Dopiero w nocnej ciszy Abigail miała czas spokojnie przemyśleć, co się właściwie wydarzyło. Miała być zarządcą – i to w bardzo ważnej dziedzinie. Och, może nie takim prawdziwym zarządcą. Wciąż będzie miała też ludzi nad sobą. Szczepana, który sprawuje pieczę nad zapasami, radę, Piotra. Jednak dostała ważne zadanie.

Było to dla niej wyzwanie. Nawet ją trochę przerażało. Czy podoła? To duża odpowiedzialność. A co, jeśli jej się nie uda? Wdowy potrzebowały dziennych racji żywności, tak samo dzieci pozbawione rodziców. Wiele osób nie otrzymywało żadnej innej pomocy, poza tą od wspólnoty wierzących. Dzień w dzień Abigail zauważała te dwie grupy osób, jak przychodziły i wychodziły. I dzień w dzień jej serce krwawiło, gdy na nie patrzyła.

Smutne twarze bez wyrazu, z niemowlętami na ręku albo małymi dziećmi trzymającymi się kurczowo spódnic. Albo dzieci, które były zupełnie same. Ich twarze rozjaśniały się podczas uwielbienia, lecz Abigail i tak widziała ich smutek. Uchwyciłyby się jakiegokolwiek znaku, który mógłby dać im nadzieję.

Czuła się głęboko zaszczycona, że poproszono ją, by służyła w taki sposób. Być może, z Bożą pomocą, uda jej się przynieść tym ludziom trochę pocieszenia i zachęty.

– O, Panie, Boże – westchnęła żarliwie – obym potrafiła służyć tak, jak Ty służyłeś, kiedy byłeś pomiędzy nami. Z radością usłużę moimi rękami i sercem w tym zadaniu, w Twoim imieniu. Umocnij mnie do służenia. Daj mądrość. Daj wszystko, co trzeba, żeby zaspokoić potrzeby ludzi. Spraw, bym była błogosławieństwem dla wszystkich, z którymi się zetknę. O to się modłę wraz z dziękczynieniem.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwóch rannych żołnierzy na tyle spowolniło pochód oddziału Linuksa, że dotarli do Jerozolimy dopiero trzeciego dnia tuż po zachodzie słońca. Widziane o zmierzchu miasto było oszałamiająco piękne. Światło pochodni i ostatnie promienie słońca nadały jego murom kolor roztopionego złota. Od wschodu księżyc oblał dolinę Cedronu srebrem i pogrążył ją w cieniu. Głos trąby rozbrzmiewający na terenie Świątyni dał sygnał do wieczornych modlitw. Miasto zdawało się unosić na wzgórzu jak błyszcząca korona mijającego dnia, jednak żołnierze, nie bacząc na to piękno, pozostawali w gotowości bojowej, dopóki pierwszy z jeźdźców nie zasalutował wartownikowi strzegącemu Bramy Owczej.

Linuks udał się do komnat nad stajniami twierdzy, które – zdawałoby się, wieki temu – dzielił z Albanem, choć z pewnością mógł zażądać dla siebie kwatery o lepszym standardzie. Twierdza Antonia była pierwszą dużą budowlą wzniesioną przez Heroda Wielkiego, ojca Heroda Antypasa, człowieka odpowiedzialnego za odbudowę Świątyni w Jerozolimie. Linuks zameldował przybycie żołnierzowi pełniącemu nocną wartę, ciesząc się, że nie musi od razu rozmawiać z gburowatym komendantem. Złożył tylko oficjal-

na prośbę o kilka oddziałów do swojej dyspozycji od następnego ranka. Jedno spojrzenie na zwój z cesarskim orłem wystarczyło, by pomocnik komendanta zaszalutował i obiecał, że wszystko będzie gotowe zgodnie z prośbą.

Linuks bez pośpiechu zjadł kolację, udał się do łaźni, by obmyć kurz i siniaki z podróży, a następnie rozpoczął poszukiwania.

Próbował sobie wmówić, że chce tylko dowiedzieć się, gdzie przebywa jego przyjaciel, były setnik, ale w głębi duszy wiedział, że to nieprawda.

Twierdza była ponurą, ciężką budowlą oddzieloną od zachodniej ściany Świątyni alejką, która bez względu na porę dnia pogrążona była w półmroku. Tego dnia uliczka była tak wyludniona, że echo kroków Linuksa odbijało się od kamieni pod jego stopami oraz od bocznych ścian. Natomiast rozciągająca się przed nim główna arteria łącząca wejście do Świątyni z bramą Heroda była pełna ludzi.

Zbliżając się do tętniącej życiem ulicy, Linuks poczuł, jak przyspiesza mu puls. Atak zelotów był na tyle świeżym wydarzeniem, że miał pełną świadomość niebezpieczeństwa czyhającego w tym mieście na chodzącego w pojedynkę, nieuzbrojonego Rzymianina. Ale tam, dokąd tej nocy chciał pójść, nie mógł zabrać ze sobą broni. Dlatego przyspieszył kroku, aż w końcu niemalże biegł. Uważał na każdego, kogo mijał, na każdy cień.

Nikt go nie zaczepiał ani mu nie groził, choć czuł na sobie wzrok wielu osób. Obawiał się nawet, że nie odnajdzie miejsca, którego szukał, bo był tu tylko trzy razy, ponad dwa lata temu. I nigdy nie szedł tędy w nocy. Nie mógł też zapytać o drogę, bo nie znał nazwy owego placu, o ile miał on w ogóle jakąś nazwę. Co więc miał powiedzieć podejrzliwemu Judejczykowi? Że on, Rzymianin, szuka podwórza, na którym zbierają się wyznawcy martwego Proroka?

Szedł i szedł, aż stwierdził, że chyba przeoczył zakręt albo w ogóle poszedł w błędnym kierunku. Biedniejsza dzielnica mia-

sta stanowiła labirynt brukowanych uliczek, w którym nawet strażnicy świątynni poruszali się trójkami, i rzadko kiedy w nocy. Już miał zawrócić, gdy po jego prawej stronie pojawiły się znajome schody, tak szerokie, jak ulica prowadząca do twierdzy, od stuleci wydeptywane ludzkimi stopami. Schody niemal dochodziły do wysokości wewnętrznego muru miasta. Wspiął się na nie i popatrzył na pusty plac. Widywał to miejsce tylko wtedy, gdy było pełne ludzi, spalone pustynnym słońcem. Ale i tak je poznał.

Za pierwszym razem, gdy tu przybył, zebrani żywo ze sobą dyskutowali. Jakże ci Judejczycy lubili rozmawiać – o wiadomościach dnia i polityce, ale przede wszystkim o swojej religii! Linuks przypomniał sobie dzień, gdy zaprowadził Albana na spotkanie z nieuchronnym przeznaczeniem. Przyjaciel Linuksa szedł wtedy obok niego i cicho mówił mu o judejskim Proroku.

Linuks głęboko odetchnął suchym, pełnym pyłu nocnym powietrzem. Wczesnowiosenne deszcze już dawno przeszły, ale największe upały miały się dopiero zacząć. Przez sześć długich miesięcy w Jerozolimie nie miała spaść ani jedna kropla deszczu.

Pogrążony w myślach Linuks poczuł, jakby właśnie stanął przy nim Alban. Na nowo usłyszał pytania, na które nie znał odpowiedzi: o przebaczenie, o miłość i o żyjącego Boga. Rozbrzmiewały w jego głowie, gdy tak rozglądał się po pustej przestrzeni, szukając jakichś śladów życia.

Usłyszał rozmowę i przez szparę w drzwiach zobaczył światło. Podeszedł do wysokich, podwójnych drzwi, które najwyraźniej były zamknięte od środka. Z bliska usłyszał wiele głosów. Ostatnim razem, gdy tu był, drzwi te były otwarte na oścież, a tłum tak gęsty, że ciężko było oddychać. Wyznawcy Proroka świętowali zaślubiny jego przyjaciół, a Herod wysłał strażę, by ich aresztować. Cztery dni później Linuks dostał rozkaz powrotu do Italii i od tamtej pory nie miał o Albanie żadnych wieści.

Linuks zapukał. Rozmowy w środku natychmiast ucichły.

Na wysokości twarzy otworzyło się małe okienko. Drzwi, grubości około jednej stopy, wzmocnione były żelaznymi kratami, by nie przebiła ich włócznia lub miecz. Przez chwilę brodata twarz przyglądała się Linuksowi, po czym odezwał się szorstki głos:

– Czego chcesz?

Ktoś inny syknął z wnętrza domu:

– Kto to?

Brodacz zwięźlił oczy i wciąż patrząc przez okienko w drzwiach odpowiedział:

– Rzymianin.

– Przychodzę w pokoju – powiedział Linuks.

Mężczyzna był wzrostu Linuksa i wyglądał na pracownika fizycznego lub wojownika.

– Jest już późno, Rzymianinie. Czego chcesz?

– Nie przyszedłem nikogo skrzywdzić – powiedział Linuks podnosząc puste ręce. – Chciałem zapytać o mojego przyjaciela.

Mężczyzna patrzył podejrzliwie.

– Czy ten przyjaciel jest wyznawcą Drogi?

Linuks nigdy wcześniej nie słyszał takiego sformułowania. Ale to nie był czas, by pytać o jego znaczenie.

– Ma na imię Alban. Jest mężem Lei.

Zza mężczyzny odezwał się kobiecy głos:

– Ten Rzymianin mówi o moich opiekunach.

Mężczyzna nie spuszczał oczu z Linuksa.

– Mówi o bojącym się Boga?

– Tak, właśnie o nim. Mogę zamienić z nim słowo? – głos kobiety nieco zadrżał.

Mężczyzna z niechęcią zmarszczył czoło, po czym powoli odsunął się od drzwi.

Ledwo Linuks spojrzął na młodą kobietę, która stanęła przy okienku, jego serce zaczęło głośno walić.

Za żelaznymi kratami pojawiła się przepiękna twarz. I te oczy... Gdy zakrywała dolną część twarzy, pojedynczy pukiel kręconych, brązowych włosów wymknął się spod tradycyjnego judejskiego nakrycia głowy.

– Wybacz, panie, zapomniałam, jak masz na imię.

– Linuks.

Była znacznie piękniejsza niż zapamiętał. Ciemne, szczerze patrzące oczy napotkały jego spojrzenie, a głos zabrzmiał jak muzyka, nawet jeśli dziewczyna była onieśmielona przez nieznanego.

– Wybacz to najście. Przychodzę w pokoju. Szukam wieści o Albanie i Lei.

– Tu ich nie ma.

– A czy są bezpieczni? – jego głos był ochryply od emocji, jakby właśnie skończył jakiś szaleńczy wyścig.

– Tak – uśmiechnęła się, a jej twarz stała się jeszcze piękniejsza.

Ktoś odezwał się z wnętrza domu:

– Abigail?

Odsunęła się o krok.

– Pani, proszę, czy możesz mi chociaż powiedzieć, gdzie ich znajdę?

– Nie mówimy...

Z wnętrza domu ktoś znów zawołał ją po imieniu, tym razem bardziej stanowczo. – Muszę już iść – powiedziała, zamykając okienko.

Linuks gapił się na zamknięte drzwi. Młoda kobieta pozostawiła po sobie zapach cytryn i jakiejś przyprawy, być może mirry.

– Abigail – wyszeptał jej imię.

Niechętnie odwrócił się i zaczął iść ze zwieszonymi ramionami.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wieści, na które czekał Ezdrasz, przysły z najbardziej niespodziewanego źródła.

– Moja własna *siostra*?

Safira była najmłodsza z ich klanu.

Niespodziewany klejnot – tak ją zawsze nazywała matka i takie też wybrano jej imię. Safira wżeniła się w rodzinę jerozolimskich kupców. To w ich domu Ezdrasz ubijał interesy, gdy był w mieście. Siedział teraz w komnacie, którą przejął jako swoją kwaterę i patrzył ponad stołem usłanym dokumentami i próbkami towarów, próbując zrozumieć to, co właśnie usłyszał.

– Ty? Wyznawczynią tego zmarłego Proroka?

– Jeśli zasięgniesz języka wśród Jego wyznawców, mój bracie, to powiedzą ci, że On wcale nie jest martwy.

– Kto? Kto mówi takie rzeczy? Ten Człowiek został *ukrzyżowany*. Przez *Rzymian*. Myślisz, że nagle ci mistrzowie śmierci i zniszczenia *popętnili błąd*? Albo *zmienili zdanie*?

Safira nie była zbyt atrakcyjną kobietą. Ezdrasz uważał również, że jego siostra ma raczej słabą wolę. Lecz rodzice ubóstwiali ją tak samo, jak swoje wnuki i nie odmawiali jej niczego. Skutkiem

tego jako dorosła również oczekiwała, że każde jej życzenie zostanie spełnione, zanim jeszcze je wypowie.

Ale coś takiego? Ezdrasz osłupiał.

Obok Safiry siedział jej mąż, Ananiasz. Był on niewysokim człowiekiem o wiecznie rozbieganych oczach, jakby sądził o każdej wynegocjowanej właśnie umowie, że tuż za rogiem czeka na niego jeszcze lepsza.

– I ty też? – spytał rozgniewany Ezdrasz.

– Oni czynią znaki i cuda. Widziałem na własne oczy.

– I to jest twoja odpowiedź? Mogę cię zaprowadzić do bramy Świątyni i pokazać tuzin żebraków, którzy też twierdzą, że mają taką moc!

– Ale te cuda są prawdziwe – powiedziała cicho Safira.

– Czyż sam nie powiedziałeś nam, że jesteś zainteresowany nawiązaniem z nimi kontaktu? – dodał Ananiasz.

Ezdrasz wstał od stołu i przeszedł w kierunku szerokich drzwi balkonowych. Jego uwagę przykuło ręcznie polerowane lustro, które kiedyś kupił dla żony. Większość religijnych Judejczyków uważała, że patrzenie na swoje odbicie w lustrze jest zbędną pokusą. Najlepsze lustra były też bardzo drogie, lecz Ezdrasz chciał, by jego żona widziała, jaka jest piękna. Stawali razem przed tym lustrem, a on wymieniał wszystkie atrybuty jej urody.

Ostatnimi czasy ledwie spoglądał na swoje odbicie, lecz dziś nie potrafił odwrócić wzroku. Patrzył na siebie i zauważył, w równo przyciętych włosach i brodzie, ślady siwizny. Jego oczy były podkrążone i nawet opalenizna z licznych podróży nie była w stanie tego ukryć. Przekroczył czterdziestkę i choć uważał się za człowieka wciąż młodego i energicznego, w duszy czuł już pierwszy powiew zimowych lat. Przyglądając się swemu odbiciu, Ezdrasz zauważył, że staje się coraz bardziej podobny do ojca.

Ze spokojem, którego wcale nie odczuwał, zmienił taktykę. Jeśli chce zdobyć informacje, musi udawać zainteresowanie wiarą tej nowej sekty. Zależało od tego powodzenie jego zadania. Odwrócił się z powrotem do siedzącej przy stole pary i powiedział:

– Macie rację, oczywiście. Wybaczcie.

– Pierwszy raz poszłam tam z ciekawości tak samo, jak ty chcesz zrobić – powiedziała Safira. – Dużo o nich słyszałam i chciałam się przekonać na własne oczy.

Ezdrasz pomyślał, że jego siostra zawsze kochała rynki i herbariarnie. Plotki były jej potrzebne jak oddychanie. Wiedział, że to niemiłe z jego strony, ale nie mógł nic poradzić na swoje odczucia. Gdy usłyszał, że siostra wierzy w te bzdury, miał ochotę odsunąć się od niej.

– A ja poszedłem, bo ona mnie prosiła – przytaknął Ananiasz.
– Prosiła i prosiła.

– Ananiaszu, przestań.

– Ale to prawda – odwrócił się do żony. – Nie dawałaś mi spokoju.

A ty urodziłeś się po to, by słuchać innych – pomyślał Ezdrasz.

Ananiasz, podobnie jak Safira, był najmłodszy z rodzeństwa. Ezdrasz był przeciwny ich małżeństwu. Ojciec Ananiasza jako pierwszy w rodzinie zdobył tytuł kupca. Dziadek Ananiasza był prostym woźnicą karawany. Dzięki ciężkiej pracy i umiejętności targowania się, rodzina wybiła się i weszła do klasy kupców. Teraz byli właścicielami tuzina straganów na głównych ulicach Jeruzolimy.

Ezdrasz wrócił na swoje miejsce i przyjrzał się mężczyźnie siedzącemu naprzeciw niego. Choćby Ananiasz nie zrobił w życiu żadnej innej pożytecznej rzeczy, wżenienie się w kupieckie imperium Ezdrasza tysiąckrotnie zabezpieczyło jego pozycję w klanie.

– Nękałaś mnie i błagałaś, no to poszedłem.

– A teraz? – spytał Ezdrasz.

Rozbiegane oczy Ananiasza choć na chwilę skupiły się na Ezdraszu.

– Nie widziałeś na własne oczy tego, co się u nich dzieje. Ja widziałem.

– Czyli co takiego?

– Ty postrzegasz ich jako rosnącą w siłę sektę. Chcesz wiedzieć, kim są. Myślisz, że mógłbyś ubić z nimi jakiś interes.

Ezdrasz był zaniepokojony trafną oceną mężczyzny.

– A czy to coś złego? – zapytał.

– Jesteśmy kupcami. Taką mamy naturę. Chcę tylko powiedzieć, że nic nie jest takie, jak ci się wydaje. Judea pełna jest sekt i ludzi, którzy twierdzą, iż posiadają tajemną wiedzę. Ta grupa jest inna.

Ezdrasz przyjrzał się uważnie Ananiaszowi. Być może jego skryty szwagier był mądrzejszy, niż mu się wydawało.

– A skąd ta pewność?

Ananiasz spojrział na żonę.

– Powtórz mu to, co opowiedziałaś mnie.

– Przyjaciółka opowiadała... o cudach – rzekła Safira. – Chciałam pójść i zobaczyć sama. Przyznaję, traktowałam to jako popołudniową rozrywkę. Widzisz, ja też miałam swoje powody, by chcieć ich poznać, lecz te powody były złe.

Przejęta i podekscytowana, Safira mówiła w pośpiechu, jak niegdyś, gdy była dzieckiem. Ezdrasz usłyszał jednak w jej głosie coś nowego: siłę, której nie rozpoznawał i intensywność, która mówiła o głębokiej pasji.

– Czy chcesz powiedzieć, że źle robię chcąc ich poznać?

– Nie, bracie. Mówię ci, żebyś był przygotowany na spotkanie z czymś, czego nie jesteś w stanie pojąć.

– Albo jesteś z nimi albo nie – powiedział Ananiasz. – Jeśli należysz do wyznawców Jezusa, On będzie działał w tobie.

– Przecież On nie żyje!

Para spojrzała na siebie z tajemniczym uśmiechem, co zaniepokoiło Ezdrasza bardziej niż wszystko, co do tej pory od nich usłyszał. Safira wskazała na swoje serce i powiedziała:

– On żyje. Tu. Teraz.

– Przyjmij to lub nie, twój wybór – dodał Ananiasz. – Ale to nie zmieni faktów. Jezus umarł, a jednak żyje.

Ezdrasz pohamował pierwszy impuls, by tupnąć nogą, rozłościć się i wszcząć kłótnię. Dał sobie kilka chwil, by przełknąć pogardę dla tych dwojga.

– Muszę to zobaczyć na własne oczy.

– Ja ci wszystko załatwię, kochany bracie – Safira promieniała z radości.

Kolejne godziny Ezdrasz spędził w stanie ostrożnego oczekiwania. Wciąż czuł niepokój wywołany tym, że Safira dołączyła do wyznawców zmarłego Proroka. Próbował dowiedzieć się o nich czegoś więcej, wysyłając na rynek zaufanego sługę z instrukcją, by popytał, zaoferował łapówkę, jeśli będzie trzeba, i przyniósł jakąś informację, która rozjaśniłaby sytuację. Bo przecież jeśli uda mu się samemu odkryć to, czego chce się dowiedzieć, nie będzie potrzebował wątpliwej pomocy siostry i szwagra.

Lecz wieści, które przyniósł sługa, jeszcze bardziej go wzburzyły.

„Znaki i cuda” – takich słów użył sługa. Z tego, jak się wypowiedział, Ezdrasz domyślił się, że recytuje to, co usłyszał od innych. Najwidoczniej rynek nie był zgodny co do tej grupy. Niektórzy

uważali ich za wyrzutków. Jerozolima pełna była wyznawców takiej czy innej osoby, wykrzykujących pod niebiosa, że ich rabbi posiada szczególne zrozumienie prawdy. Ezdrasz spodziewał się tego. W młodości on sam i Gamaliel też stali na zewnątrz Świątyni, ogłaszając innym uczniom, że to ich nauczyciel jest najwybitniejszym faryzeuszem wszechczasów.

Ale to było coś innego.

Według przekazu sługi, działy się prawdziwe cuda. Przywódcy tej grupy, znani jako apostołowie lub święci nauczyciele, posiadali moce, które kiedyś należały do samych proroków. Albo, co bardziej prawdopodobne, to wszystko było jakimś oszustwem.

Ezdrasz ukrył swoje zaniepokojenie przed służącym, który przecież tylko wykonał rozkaz pana. Gdy ten się oddalił, Ezdrasz nie mógł się z powrotem skupić na pracy. Przechadzał się nerwowo po pokoju, prowadząc wewnętrzną dyskusję na temat tego, jak jego młodsza siostra mogła przyrzec wierność takiej grupie.

Zatrzymało go pukanie do drzwi. Sługa wrócił i ogłosił:

– Przyszła do ciebie kobieta, panie.

– Moja siostra ją przysłała?

– Nie powiedziała, panie. Ale nie sądzę.

– Nie chcę... – Ezdrasz zauważył słabo skrywany uśmiezek sługi. – O co chodzi?

– Jestem pewien, że zechcesz się z nią widzieć, panie.

– Wprowadź ją.

Zaintrygowany Ezdrasz czekał na środku komnaty.

Gdy tylko kobieta stanęła w drzwiach, zrozumiał.

Miała na sobie ciągnące się po ziemi szaty kapłanki greckiej świątyni. Długie kości policzkowe podkreślały ogromny nos. Jej skóra pokryta była plamami, lecz kobieta pokryła policzki różem niczym młoda bezwstydnica. Efekt był upiorny.

– Przynoszę ci pozdrowienia, Ezdraszu, synu Szymona.

Odpowiedział uprzejmym skinieniem głowy i powiedział do służącego, który teraz zupełnie otwarcie się uśmiechał:

– Przynieś coś do jedzenia i picia.

– Pozdrowienia – powtórzyła starsza kobieta, gdy Ezdrasz wskazał jej krzesło. – Od jednej z najzaciejszych rodzin w całej Judei.

– Jestem zaszczycony – odparł Ezdrasz.

– I powinieneś być, panie. Och, jak najbardziej. Powinieneś być zaszczycony tak bardzo, że nie da się tego ująć słowami. Powiem ci, dlaczego.

Przeszedł dookoła stołu i usiadł na krzesło.

– Proszę, kontynuuj.

– Ponieważ ta rodzina ma córkę, panie, tak piękną, jakiej wcześniej nie widziałeś. Skąd to wiem, mógłbyś zapytać, panie. Wiem, ponieważ gdybyś tylko ją ujrzał, zaślepiłoby cię jedno pragnienie: poślubić tę młodą kobietę i wziąć ją do swojego domu.

Służący podsunął kobiecie pozłacaną tacę z kielichem. Sięgnąwszy po niego, siorbnęła głośno, po czym powiedziała:

– Masz dwoje dzieci.

– Tak, zgadza się.

– Które tęsknią za matką. Bez wątpienia ty również tęsknisz za swą zmarłą żoną. To wielka strata, taka tragedia. Widzę w twojej twarzy, jak boli cię, że nie ma jej przy tobie. Lecz, panie, czas żałoby już przeminął. Przychodzę ogłosić nowy początek.

Sługa pozostał przy drzwiach i obserwował kobietę niczym aktorkę na scenie. Ezdrasz musiał przyznać, że była bardzo utalentowana. W ciągu ostatnich miesięcy spotkał już wystarczająco dużo swatek, by zorientować się, że ta jest profesjonalistką.

– A czy ten mój nowy początek ma jakieś imię?

– Gloria.

Czyli rodzina była grecka – tak miejscowi mówili o judejskich rodzinach spoza granic Izraela.

– Z jakiego rodu?

– Izaaków. Z Aten. I Cezarei.

Oczywiście, znał ich. Posiadali własne okręty i dobrą reputację.

– Ile ma lat?

– Najśłodszy wiek – szesnaście. Świeża jak poranek, z głosem przypominającym łagodne gruchanie synogarlicy.

Kobieta układała peany na cześć młodej damy, a Ezdrasz oparł się na krzesło i poważnie rozważał propozycję. Rodzina Izaaków posiadała statki, których nie miało jego kupieckie imperium. Od lat robił z nimi interesy. W ostatnią podróż do Aleksandrii udał się właśnie na jednym z ich okrętów. Podejrzewał, że nie są zbyt religijni, co było normą wśród wielu Judejczyków mieszkających w Cezarei, ale to mu jakoś specjalnie nie przeszkadzało. Byli znani ze swojej dobrej reputacji i honoru, a Ezdrasz przekonał się, że są to ludzie szorstcy, lecz sprawiedliwi i dotrzymujący słowa. Wiedzieli o jego pozycji we wspólnocie i jeśli oferowali rękę swojej córki, znaczyło to, że ta młoda kobieta wie, jak przestrzegać *kaszrut*, jak prowadzić dom w sposób religijny.

Jego myśli popłynęły z powrotem do spotkania, które miała mu załatwić Safira. Zastanawiał się znowu, co zrobić z nowo odkrytą przynależnością siostry do owej sekty. Nagle poczuł się zbyt niespokojny, by usiedzieć na krzesle. Wstał tak prędko, że starsza kobieta zatrzymała się w połowie zdania.

– Proszę, wybacz mi. Mów dalej.

Kobieta wykrzywiła twarz w grymasie, który miał być uśmiechem.

– Najwyraźniej jesteś, panie, zainteresowany tą młodą kobietą, prawda? I słusznie, gdyż jej skóra jest świeża jak...

Ezdrasz znów stanął przed wypolerowaną powierzchnią lustra. Nie wyglądał najgorzej. Owszem, twarz była już trochę poorana bruzdami, a skóra bardzo ciemna od miesięcy podróży na otwartym morzu. Ezdrasz pogładził siwiznę na krótkiej brodzie i zastanawiał się, co taka młoda dziewczyna by o nim pomyślała.

Lecz prawdą było to, co powiedziała staruszka. Czas żałoby dobiegał końca. Dzieci potrzebowały matki, a on żony.

Zdał sobie sprawę, że kobieta zapytała go o coś i czeka na odpowiedź.

– Czy mogłabyś powtórzyć, pani?

– Spytałam, czy chciałbyś, panie, abym porozmawiała w twoim imieniu z rodziną.

– To ty przysłaś do mnie – odparł Ezdrasz. Najwyraźniej kobieta chciała dostać pieniądze za zaręczyny od obu rodzin. – Ta rodzina cię tu przysłała, tak? Co znaczy, że jesteś tu w *ich* imieniu.

Kobieta uśmiechnęła się zadowolona, bo Ezdrasz nie odrzucił od razu jej oferty.

– Tak, panie, jestem.

Safira przybyła w chwili, gdy swatka właśnie wychodziła. Zanim sługa Ezdrasza odprowadził staruszkę do frontowych drzwi, Safira musiała poukładać sobie w głowie prawdopodobny cel jej wizyty i teraz miała na twarzy ten sam uśmiešek, co przedtem sługa.

– Jesteś gotów, bracie?

– Na co?

– Na co, pyta. Patrzcie na niego. Jeszcze nawet nie spotkał tej młodej damy, a już myśli o sprowadzeniu jej do domu.

Ezdrasz poczuł gorąco na twarzy, co tylko wywołało śmiech Safiry. Nawet sługa zakrył ręką usta, żeby ukryć chichot. Safira wzięła brata za rękę i powiedziała:

- Chodź, oczekują nas.
- Zaaranżowałaś mi spotkanie z kimś z tej sekty?
- Nie uważamy się za sektę, bracie.
- Nie miałem nic złego na myśli. Jak więc mam ich nazywać?
- Na naszych zebraniach nazywamy siebie teraz wyznawcami Drogi.

Bardzo mu się nie podobało słuchanie o tym, jak jego siostra deklaruje przynależność do tej grupy, jakkolwiek by się nie nazywali. Ezdrasz ukrył grymas na twarzy, spoglądając w słońce.

- Straszny dziś upał. Weźmiemy powóz?
- Nie wypada zjawić się w powozie. Zresztą, idziemy do starej dzielnicy.

Ezdrasz miał ochotę ponarzekać, ale się powstrzymał. W starej dzielnicy mieszkała jerozolimska biedota. Nie bywał tam już od lat i wątpił, by od jego ostatniej wizyty w tamtych stronach cokolwiek zmieniło się na lepsze. Skinął na dwóch wartowników stojących u wejścia do budynku.

- Będziecie nam towarzyszyć.

Safirze najwyraźniej nie w smak była zbrojna ochrona, ale nie sprzeciwiła się. Zamiast tego mówiła dalej:

- Pośród tych, którzy nie są z nami, lecz szanują nas, jesteśmy znani pod nazwą Nazarejczycy. Od Nazaretu – miasta, gdzie Jezus się wychowywał.

Ezdrasz zachwiał się i oparł o najbliższy murek. Po hebrajsku słowo to brzmiało *Hanozree* i miało wielkie znaczenie wśród religijnych Judejczyków. Oznaczało najwyższą formę zaparcia się samego siebie, odrzucenia grzechu, odwrócenia się od pokusy i szczerego szukania Pana.

- Czy wszystko w porządku, bracie?
- Tak, nic mi nie jest. Więc zabierasz mnie do domu jednego z przywódców?

– Apostołowie w większości pochodzą z Galilei. Tu mieszkają z innymi wierzącymi, którzy mają domy w Jerozolimie.

Tym razem Ezdrasz nie zdołał ukryć grymasu niezadowolenia i pogardy. Dla religijnych ludzi z Jerozolimy, Galilejczycy byli jedynie troszkę lepsi od Samarytan.

– Doprawdy, siostró, tego już za wiele. Zadajesz się z motłochem!

Safira nie była przyzwyczajona, że ktokolwiek w rodzinie ją krytykuje, więc stanęła nadąsana. W jednej chwili Ezdrasz przypomniał sobie dawne czasy, kiedy jedno urażone spojrzenie siostry roztopiało serca rodziców.

– Jeśli masz zamiar mówić do mnie w ten sposób, to równie dobrze możemy wrócić do domu.

– Wybacz, siostró. To było niepotrzebne i niegrzeczne z mojej strony.

– To ty chciałaś tego spotkania.

– To prawda. Powiedz mi więcej na temat tej grupy.

Safira znów się wypogodziła, lecz jej opowieść pełna była cudów i wydarzeń, które po prostu nie miały najmniejszego sensu. Safira opisywała przyrost liczby członków grupy w tempie, które było niemożliwe. Mówiła, jak ludzie dzielą się wszystkim, co mają i nikomu we wspólnocie niczego nie brakuje. Albo opowiadała, jak Mistrz nakarmił pięć tysięcy ludzi jednym koszem ryb i kilkoma bochenkami chleba; że działo się tak często, bo nigdy niczego we wspólnocie nie zabrakło.

Ezdrasz nie mógł się powstrzymać i zapytał:

– Siostró, ile naszych rodzinnych pieniędzy im dałaś?

Wróciła nadąsana mina.

– Dzielimy się z potrzebującymi.

Ezdrasz zgadywał, że ciężko zarobione złoto jego rodziny, które on własnym wysiłkiem znacząco pomnożył, teraz służy do karmienia biednych, tłoczących się do nowej sekty właśnie dlatego, że można tam dostać darmowe jedzenie. Jego jedzenie. Jego złoto. Nic dziwnego, że sekta tak się powiększa.

Resztę drogi przebyli w ciszy.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ezdrasz zupełnie nie spodziewał się tego, co zastał w miejscu, gdzie zbierali się apostołowie.

Nie było tam tłumu biedoty kłębiącej się jak wrony dookoła jedzenia, ani hord żebraków wyciągających ręce po jałmużnę. Ezdrasz i Safira weszli na plac jakich w mieście setki, gdzie nieliczni ludzie spokojnie zajmowali się swoimi sprawami. Woda sączyła się z prostej glinianej rurki osadzonej w pozbawionej ozdób fontannie i wpadała do wąskiego baseniku. Budynki wokół placu, choć wyglądały biednie, nie były zaniedbane. Okiennice pozamykano, by chronić domostwa przed popołudniowym upałem. Osioł jadł z worka uwiązanego u szyi. Jakaś kobieta napełniła gliniany dzban i kiwnęła głową do Safiry, zanim zniknęła w podwójnych drzwiach.

Safirę ogarnęły wątpliwości.

– Nie powinniśmy byli tu przychodzić.

Ezdrasz odczuł pokusę, by się z nią zgodzić, lecz powstrzymała go narastająca ciekawość. Safira nie była mało inteligentna ani łatwowierna. Lubiła robić zakupy na straganach, chwaliła się nowymi perfumami i kolorowymi chustami, ale nigdy nie należała

do kobiet, które pozwalają, by złoto przepływało przez ich palce niczym woda. A jednak coś w tej sekcie ją przyciągnęło.

– Będę się do nich odnosił z szacunkiem – powiedział Ezdrasz.

– Na pewno? – rzuciła mu niespokojne spojrzenie.

– Daję ci moje słowo – był pod wrażeniem widząc, jakie to dla niej ważne.

– W takim razie chodźmy.

Gdy przechodzili przez otwarte drzwi, Safira powiedziała:

– To tutaj Mistrz ukazał się po swoim ukrzyżowaniu.

Ezdrasz już otworzył usta, żeby ją poprawić, lecz w porę się powstrzymał i tylko kiwnął głową.

– W komnacie na górze Jezus świętował Paschę z apostołami. To był Jego ostatni posiłek przed śmiercią.

– Czyli to było zanim powrócił, dobrze cię rozumiem? – było mu okropnie trudno nie oponować wobec tych nedorzeczości.

– Tak, bracie – Safira odpowiedziała ze stanowczością, która jeszcze bardziej wytrąciła go z równowagi. – Umarł i powrócił, a potem znów nas opuścił, żeby mógł przybyć Duch Święty.

– A dokąd poszedł?

Spojrzała na niego, by upewnić się, że to pytanie nie jest kpina.

– Z powrotem do Ojca. Do nieba.

Nie wymyśliwszy nic odpowiedniego, co mógłby rzec, Ezdrasz znów pokiwał głową, tym razem wolniej.

– Razem z ciałem został zabrany do nieba. Byli przy tym apostołowie i wszystko widzieli.

Ezdrasz szybko rozejrzał się po wewnętrznym dziedzińcu. Działo się tu znacznie więcej niż na placu za wysokimi drzwiami. Jednak tu też wyczuwało się niesamowity spokój. Zobaczył scenę, która przypominała mu jego wcześniejsze lata w Jerozolimie, gdy mieszkał u swego nauczyciela. Pod skrzydłami tego uczonego był zarówno studentem, jak i sługą. Rodzina oczywiście zapłaciła

za jego naukę, lecz oczekiwano od niego również ciężkiej pracy, a część należnej mu zapłaty została przeznaczona na pomoc dla biednych, młodych mężczyzn wyróżniających się inteligencją. Jednym z takich młodych mężczyzn był Gamaliel, pełen pasji i ognia, choć pochodzący z ubogiej rodziny. To zresztą wyjaśniało, dlaczego później doceniał wyrefinowane rzeczy – dobre jedzenie, ładny dom i wspaniałe szaty.

Wspomnienia z młodości przebiegały przez umysł Ezdrasza, w miarę jak przyglądał się podwórzu. Ujrzał mniej więcej dwa tuziny ludzi, przeważnie kobiet, zajętych różnymi pracami. Poczuł zapach pieczonej jagnięciny przyprawionej czosnkiem i tymiankiem. W cieniu ustawiano i nakrywano dwa stoły, jak to miało miejsce w większości religijnych domów, gdzie kobiety i dzieci siedziały przy osobnym stole, jeśli w gości przyszedł ktoś obcy. Kobiety nosiły długie, skromne szale, owinięte wokół ramion i dyskretnie zakrywające dolną część twarzy. Było widać, że nie są zamożne, lecz Ezdrasz nie dostrzegał oznak skrajnego ubóstwa.

Był pod wrażeniem panującego tu spokoju. To samo pamiętał z domu swojego nauczyciela, gdzie spędzało się czas na studiowaniu świętych ksiąg, modlitwie i uwielbieniu Boga. Poznając tę nową sektę spodziewał się doświadczyć wielu rzeczy, ale ów spokój, zapamiętany z lat młodości, z pewnością do nich nie należał.

Zatrzymał się, przestraszony nagłym łoskotem, który rozległ się gdzieś za nim. Odwrócił się i aż wstrzymał oddech.

Młoda kobieta upuściła drewniane miski, które teraz leżały na ziemi. Koniec jej szala zsunął się z twarzy, gdy schyliła się, by je pozbierać.

- Wybaczcie. Bardzo przepraszam, taka ze mnie niezdara.
- Pozwól, że ci pomogę...
- Nie, panie, nie wypada. Sama pozbieram.

Ezdrasza nie interesowało wykonywanie obowiązków służącej. Chciał bliżej przyjrzeć się tej kobiecie i zobaczyć, czy jego pierwsze wrażenie jest trafne.

Gdy pozbierała miski i stanęła przed nim, okazała się jeszcze piękniejsza, niż myślał. Ujrzał kobietę o zdumiewająco pięknej twarzy – uroczą, niepospolitą, a co więcej, mającą w sobie wewnętrzzną siłę i zadowolenie z życia, których nigdy wcześniej nie widział u tak młodej kobiety.

Misja Ezdrasza, związana z wizytą w tym miejscu, w jednej chwili zmieniła środek ciężkości. Teraz wszystko, co słyszał i widział, przesiane zostało przez pryzmat fascynacji tą młodą kobietą. Za każdym razem, gdy pojawiała się w polu widzenia, reszta świata rozmywała się i stawała się nieważna.

Safira przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, po czym zaprowadziła go do głównego stołu na podwórzu i usadziła w cieniu. Powiedziała do niego coś, czego nawet nie usłyszał, po czym odeszła na moment. Po chwili wróciła i dalej mówiła coś do niego, ale wszystko uchodziło jego uwadze.

Wtem zjawiła się przed nimi owa młoda kobieta z glinianym kielichem. Podała im go mówiąc:

– Prosiłaś o chłodną wodę, Safiro.

– Dziękuję, Abigail – odpowiedziała Safira, po czym wskazała na brata.

Ezdrasz wziął wodę i uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. W konserwatywnym domu nieżonaty mężczyzna nie powinien zwracać się bezpośrednio do panny. Ale ktoś wiedział, jakie zasady panowały w tym miejscu? Ezdrasz smakował imię kobiety razem z wodą. *Abigail*. Przyjemnie działało na zmysły. To dobre imię.

Gdy odchodziła, zauważył, że lekko kuleje. Jako człowiek interesów odnotował, że ta młoda kobieta może mieć poważną wadę.

Niedoskonałość fizyczna, i to takiego stopnia, że kobieta jest chroma, mogła stanowić podstawę do odstąpienia od umowy małżeńskiej. Prawo judejskie było w tym punkcie bardzo jasne. Widoczny defekt, zwłaszcza na twarzy lub utrudniający chodzenie, rozpatrywany był w tym samym świetle co rytualna nieczystość. Osoba taka nie miała wstępu do Świątyni.

Ezdrasz popijał wodę i obserwował, jak wierzący zajmują się swoimi sprawami. Jednocześnie cały czas szukał wzrokiem tamtej młodej kobiety. Na myśl o jej niedoskonałości wzruszył ramionami. Nie miało to dla niego znaczenia. Pragnął jej. Skoro lekarze nie potrafili jej wyleczyć, piękno jej twarzy i figury na pewno zrekompensuje fizyczną ułomność.

Ezdrasz i jego siostra pozostali na placu tak długo, na ile pozwalala przyzwoitość. Wstrzymał się z chęcią powiedzenia Safirze o swym nowym celu.

Czekała aż znaleźli się znów na jednej z głównych ulic, by zapytać:

– I co o nich myślisz?

Ezdrasz przystanął na moment, po czym odrzekł:

– Myliłem się w swych przypuszczeniach.

– Sądziłeś, że to będą sami żebracy, którzy przyszli po darmowe jedzenie i dach nad głową.

Spojrzał na nią przez ramię, zaskoczony jej trafną obserwacją. Zwykle nie była tak spostrzegawcza.

– Wiem, bo sama myślałam dokładnie to samo – mówiła dalej Safira. – Sądziłam, że chcą, bym do nich dołączyła, bo jestem z bogatej rodziny i pragnę zagarnąć moje pieniądze.

– Bo chcą – odpowiedział bez namysłu.

– Ale nie *proszą* o nie. Tu nie chodzi o pieniądze, bracie.

Chciał odpowiedzieć kolejnym argumentem, ale wiedział, że to nie jest odpowiedni czas, więc zmienił temat:

– Ta młoda kobieta, Abigail. Znasz ją, tak?

Dostrzegł, jak Safira próbuje ukryć uśmiech.

– Zadziwiasz mnie, bracie.

Starał się trzymać swą niecierpliwość na wodzy.

– Opowiedz mi o niej.

– Jest sierotą.

To nie była dobra wiadomość. Sierota znaczyła w społeczeństwie prawie tak mało, jak uwolniony niewolnik. Żaden klan nie przyjął jej do siebie. Nie miała żadnego bogactwa czy pozycji.

– Jak straciła rodzinę?

– Słyszałam, że w wyniku ataku na ich karawanę. Przeżyła tylko ona i jej brat, który wśród wierzących uczy się na stolarza. Wcześniej służyła w domu, w którym wszyscy poznali zmartwychwstałego Pana. Teraz jest częścią tej wspólnoty i służy...

– A dlaczego utyka?

– Słyszałam, że miała wypadek. Prała ubrania i gorąca woda...

Ezdrasz przestał słuchać głosu siostry. Im więcej się dowiadywał, tym bardziej miał pewność, że powinien porzucić myśl o tej Abigail. Sam pomysł, że kupiec jego pokroju chciałby poślubić służącą, praczkę, członkinię tej szemranej sekty, był jakimś absurdem. Lecz wspomnienie jej uroczej twarzy nie dawało mu spokoju.

– Bracie?

Ezdrasz zorientował się, że siostra nie idzie już obok niego. Odwrócił się i dopiero teraz zobaczył, że stoi przy ulicy prowadzącej do ich domu.

– Czy zapomniałeś już, gdzie mieszkam, i gdzie masz swoje biuro?

Podszedł do niej i powiedział:

– Chcę, żebyś w moim imieniu porozmawiała z jej rodziną.

– Ezdraszu, już ci powiedziałam – ta dziewczyna nie ma rodziny.

– We wszystkich aspektach, poza nazwiskiem, została zaadoptowana przez tę... grupę, czy tak? – już chciał powiedzieć: „sektę”, lecz w porę się pohamował. – Pomów w moim imieniu z przywódcami.

Safira spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę chcesz się *ożenić* z tą kobietą?

Czuł, jak całe jego jestestwo płonie tym pragnieniem.

– Posiadam dwie parcele ziemi. Jeśli zrobisz to dla mnie, jedna z nich będzie twoja już dziś po południu.

Usta Safiry otwarły się ze zdziwienia, a oczy wpatrywały się w niego. Ziemia w granicach miasta była cenna niczym pole usiane drogimi klejnotami.

– Mówisz poważnie, bracie?

– A druga będzie twoja w dniu, kiedy ją poślubię – powiedział Ezdrasz. – A teraz sama mi powiedz, czy brzmi to poważnie, czy nie.